Egzemplarz okazowy
BIBLIOTEKA

26-27 MAJA — ŚWIĘTO PRASY

Fot. J. Mendychowski

Poezja radziecka str. 4

Nieznany Camus
Wojciech Natanson
str. 5

-Proszę o książkę zażaleń...
Stanisław Skibiński
str. 10

Kamena

Wychodzi od 1933 r.

LUBLIN 20 V 1973 Nr 10 (522) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 2 ZŁ

Nad Raportem o Stanie Oświaty

PIĄTY WARIANT?

Maciej Podgórski

PÓŁTORA roku temu, z okazji ukazania się dokumentu pt. „O dalszy socjalistyczny rozwój Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej", wytycznych KC PZPR na VI Zjazd Partii, pisałem na tych łamach o pewnym krzepiącym obyczaju politycznym w obrębie relacji: władza — obywatel. Że mianowicie władza, inicjując szeroki program naprawy Rzeczypospolitej, przedstawiła swe propozycje nie do bezkrytycznego wierzenia, lecz, używając częstokroć sformułowań alternatywnych, do społecznej dyskusji obywateli. I taka dyskusja wówczas się odbyła, a dalszy jej ciąg i ostateczne zbilansowanie — już na samym Zjeździe, czego efektem dokument zjazdowej uchwały, tu i ówdzie inaczej rozkładający akcenty i wprowadzający nowe motywy w porównaniu z pierwotnymi wytycznymi. To ślad, że dyskusja była efektywna.

Jeśli porównać wytyczne KC PZPR z uchwałą Zjazdu w zakresie kształcenia i wychowania młodzieży, to łatwo stwierdzić, iż w tym ostatnim dokumencie znacznie silniej niż w wytycznych została zaakcentowana potrzeba nowego systemu oświaty w Polsce:

W oparciu o naukowe analizy i praktyczne doświadczenia przodujących nauczycieli i szkół przedstawiony powinien zostać do decyzji politycznej projekt nowego modelu systemu oświatowego. Projekt ten uwzględniać powinien postulat powszechności nauczania średniego oraz określać treść kształcenia na różnych poziomach nauczania, zalecić skuteczne metody dydaktyczne i wychowawcze, uwzględnić potrzebę specjalnego kształcenia młodzieży utalentowanej, wyznaczyć poziom kształcenia oraz strukturę i sieć terytorialną różnych typów szkół, zakres potrzeb w dziedzinie bazy materialno-technicznej, powiązań szkoły z różnymi dziedzinami życia społecznego, potrzebami jakościowymi i ilościowymi gospodarki, ze środowiskiem rodzinnym, organizacjami młodzieżowymi, zakładami pracy, jak również określić potrzeby kształcenia i doskonalenia nauczycieli.

Dokończenie na str. 6—7

REZERWY NA DŁONI

Kruszarka na wagę kruszcu

Tadeusz Graba

W HERBIE Bełżyc widnieją trzy gwiazdy i półksiężyc, lecz powinna znajdować się krowia morda w aureoli rozsądku. Są to bowiem atrybuty tego powiatu, a zarazem jego chwała i nadzieja. Krowi awans heraldyczny wspierają przyczyny łatwe do przewidzenia: tak jest, sporo tu bydła, na sto hektarów przypada niemal 65 sztuk (nie mówiąc o ok. 140 egzemplarzach trzody chlewnej).

Zresztą we wszystkich pozostałych wskaźnikach produkcji rolnej powiat też znajduje się w czołówce województwa. Dość powiedzieć, że plony zbóż osiągnęły w ubiegłym roku wysokość 27,4 q, ziemniaków — 240 q, a buraków cukrowych — 430 q z hektara. Efekty produkcyjne uzyskane przez rolników bełżyckich w czasie minionych dziesięciu lat uplasowały powiat na pierwszym miejscu na Lubelszczyźnie, przynosząc mu przy okazji dyplom KC Partii i Prezydium Rządu, wręczony na styczniowej konferencji partyjno-gospodarczej w Warszawie.

Powiat wiąże swoją przyszłość gospodarczą z dalszym rozwojem produkcji zwierzęcej, kierując się zwykłym rozsądkiem, chłodną kalkulacją. Nie posiada przemysłu, jedynym w istocie źródłem utrzymania ludności jest rolnictwo. Dobre gleby powstrzymują migrację do większych ośrodków miejskich, jedynie z rejonów Chodla, Siewalki, Wronowa, Książa i Płowizn, posiadających ziemie słabsze i leżących niedaleko Poniatowej, ludzie wyjeżdżają do EDY.

Dokończenie na str. 4—5

Fot. J. Mendychowski

Między Scyllą i Charybdą

Zdzisław Jastrzębski

MYŚLENIE o kulturze przysparza nam sporo kłopotów. Wpłynąwszy w jej nurt jesteśmy rzucani w wiry sprzecznych sądów, założeń, żądań. Co do niej należy? Wszystko, co się łączy z kategorią piękna. Niby jasne, ale mówimy też o kulturalnym zachowaniu (dziedzina moralności), o stanie kultury materialnej dawnych ludów (dziś tworzymy muzeum techniki, nie kultury materialnej), o wyższym poziomie kultury danego środowiska, ponieważ korzysta w większej mierze z pralek i lodówek itd. Czy jest potrzebna? Jedni świetnie sobie żyją nie czytając książek, nie słuchając muzyki, dla innych możność obcowania z dobrami kultury stanowi istotny sens życia (zarobek i urządzenia techniczne są tylko środkiem). Z jednej strony nie przywiązujemy wagi do wartości kulturalnych, z drugiej zwracamy wiele uwagi na te

Z teki pośmiertnej

sprawy, planujemy sieci bibliotek, kin, klubów itp. Jaka jest jej rola w życiu? Gdy nie będziemy tydzień jeść, wiadomo, co będzie, ale nie bardzo wiemy, czy i jakie skutki będą, gdy nie będziemy przez rok korzystać z rozrywek kulturalnych itd.

Wśród wirów szamoczemy się i wiry sami tworzymy. Choćby w zakresie pojęć. Warto więc dokonać małego wypadu rozpoznawczego. Otóż na kulturę składa się nie tylko wiele działów, ale też z wielu aspektów może ona być rozpatrywana: jako proces twórczy — jej tendencje rozwojowe, kształt i wizja, historyczne i podmiotowe uwarunkowania; jako przedmiot — jej „stan posiadania", istota, ocena; jako funkcjonująca społecznie „instytucja" — zakres i formy tego funkcjonowania, metody upowszechniania, dostępność; jako element i proces „konsumpcji" — potrzeba korzystania z niej (z jakiego

Dokończenie na str. 6—7

DISNEYLAND W BOROWIE

Kazimierz Dymel

PRZEZ ten jeden, jedyny dzień ziściły się moje marzenia rozbudzone ongiś lekturą Wellsa. I choć nie posiadałem wehikułu czasu, toć przecie dane mi było cofnąć się w przeszłość, na powrót przeżyć dziecięce nadzieje i tęsknoty. A wszystko to zawdzięczam człowiekowi, który o sobie mawia:

„Piszę ręką od młota i dyktuję myśl, która nie znała szkoły".

Jego mieszkanie niczym właściwie nie różni się od innych, maleńkich chatynek, gęsto rozsianych po całym Borowie. Tyle, że wejścia do domu strzeże jakiś ogromny, przedpotopowy stwór. Dopiero z bliska widać, że jest to wielka metalowa konstrukcja, ni to turbina, ni skrzydła archaicznego wiatraka. Czyżby jakiś symbol, a może swoista reklama?

Dopiero w kuźni znajduję rozwiązanie zagadki. Owo dziwaczne, pozornie bezużyteczne urządzenie służy wcale konkretnym celom: wykorzystując siłę wiatru porusza toczak, którym ostrzy się wszelakie narzędzia.

Tymczasem twórca machiny, Edward Bychawski, po udzieleniu tych wyjaśnień znów rozpoczyna cierpliwą krzątaninę wokół prymitywnej dmuchawy i maleńkiego kowadełka. Zresztą wszystko tu niewielkie, miniaturowe, dostosowane w proporcjach do samego gospodarza, drobnego, zgarbionego staruszka. Nie czas jednak na obserwację wnętrza, gdy artysta wyczarowuje z żelaza coraz bardziej zaskakujące kształty. Raz są to stylizowane pieski, jaszczury, innym razem przykuwa uwagę wąż, do którego łusek przytroczony jest ogromny świecznik, zaskakujący niecodziennym ornamentem. Tam pod ścianą leżą ozdobne motyki, sierpy, misterne kominkowe akcesoria i Bóg raczy wiedzieć, co jeszcze.

Jaka szkoda, że dopiero teraz otworzył się wręcz nieograniczony zbyt na tę twórczość wykutą w żelazie, że dopiero obecnie „Cepelia", muzea i prywatni kolekcjonerzy rozchwytują najdrobniejsze nawet od-

Dokończenie na str. 6

teatrnn.pl

KULTURA 1973

Literatura

* W Warszawie odbyło się pierwsze spotkanie redaktorów naczelnych czasopism krajów socjalistycznych, poświęcone propagowaniu literatur zagranicznych. Gospodarzem spotkania była redakcja miesięcznika „Literatura na świecie", która zarazem ufundowała nagrody dla tłumaczy z literatury polskiej.

* Laureatem nagrody im. Leonida Teligi za działalność związaną z problematyką żeglarską otrzymał red. Tadeusz Lipkowski z telewizji wrocławskiej za cykl 10 audycji pt. „Pokochać wiatr". Był on nadawany w programie II, w czerwcu powtórzy go program I.

* Polska książka, głównie w dziale literatury pięknej, prezentowana będzie w tym roku w Tokio, Madrycie, Czechosłowacji i Kanadzie na specjalnych wystawach, obejmujących po kilkaset tytułów.

Teatr

* Teatr Stary w Krakowie prowadzi próby przed wystawieniem nowej polskiej sztuki — „Marsz", której autorem jest znany karykaturzysta i rysownik Mieczysław Piotrowski.

* Krystyna Skuszanka wyreżyserowała w krakowskim Teatrze im. Słowackiego sztukę „Wasantasena", opartą na staroindyjskim utworze z IV wieku naszej ery, która była sensacją wielu scen europejskich.

* Teatr w Olsztynie wystawił bardzo rzadko goszczący na scenie „romans historyczny" Juliusza Słowackiego „Sen srebrny Salomei". Jak twierdzi recenzent „Trybuny Ludu" Michał Misiorny, spektakl w reżyserii i opracowaniu Jana Bleszyńskiego może stać się szlagierem wielkiego repertuaru.

* Z inicjatywy Stanisława Hebanowskiego, kierownika literackiego Teatru „Wybrzeże", zaczęły ukazywać się „Gdańskie zeszyty teatralne", finansowane przez Gdańskie Tow. Przyjaciół Sztuki.

* W Warszawskim Teatrze Dramatycznym eksponowano wystawę malarstwa kubańskiego. Wystawiono płótna ponad 20 artystów.

* Na tournée w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie przebywa zespół warszawskiego teatru „Komedia", pokazując nową inscenizację sztuki W. Krzemińskiego „Romans z wodewilu czyli krowoderskie zuchy".

Sztuka

* Muzeum Narodowe w Warszawie przygotowuje z okazji zbliżającej się sesji Światowej Rady Pokoju, która odbędzie się w naszej stolicy, wystawę pn. „Przez świat idzie wołanie". Zostaną na niej zgromadzone dzieła polskich twórców — obrazy, rzeźby, plakaty, fotografie i teksty literackie, poświęcone sprawom pokoju i wojny.

* W konkursie krajowym na plakat, związany z X Festiwalem Młodzieży i Studentów w Berlinie, pierwszej nagrody nie przyznano, drugą zdobył student ASP z Warszawy — Witold Masyrowicz.

* W Krakowskim BWA została otwarta wystawa pn. „Plastyka zakopiańska 1969—1973", będąca podsumowaniem niezwykle prężnego środowiska zakopiańskiego od Witkiewicza do Hasiora.

* W kilku łódzkich zakładach pracy utworzono muzea zakładowe, które ukazują przeszłość fabryk, dawne walki załogi o uzyskanie lepszych warunków pracy w ustroju kapitalistycznym, a także współczesne osiągnięcia zakładów.

* Na wystawie fotograficznej w Paryżu, organizowanej przez kluby Anglii, Belgii, Szwajcarii, NRF i Francji, złoty medal zyskał Jan Berdak z Opola za zestaw czterech prac.

* Polscy archeolodzy odkryli na ścianach starego domu w Aleksandrii freski. Jak dotychczas, tego rodzaju malowidła znajdowano w Aleksandrii tylko na grobowcach.

Muzyka

* W Operze Wrocławskiej odbyła się polska prapremiera opery George'a Gershwina „Porgy and Bess". Reżyserował Bolesław Jankowski, scenografia Xymeny Zaniewskiej.

* Ogłoszony w kraju konkurs na piosenkę, przeznaczoną na X Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów w Berlinie, nie dał laureata pierwszej nagrody. Drugą przyznano Filipowi Nowakowi.

* „Bryliantowe spinki" — najwyższą nagrodę X Festiwalu Piosenki i Piosenkarzy Studenckich, za autorstwo tekstów i muzyki oraz wykonanie otrzymał zespół wrocławski Krzysztof Krawczyk-Piasecki i Krzysztof Szczucki. Wśród laureatów i wyróżnionych nie było nikogo z Lublina.

* Zespół beatowy „Skaldowie" dał ostatnio 15 koncertów w NRF, a obecnie przebywa na trzytygodniowym tournée w ZSRR.

* We wrześniu zostanie otwarty w Nowym Jorku Polski Teatr Muzyczny, w którym występować będą artyści przyjeżdżający z Polski. Prezesem agencji „Polamart", która będzie prowadziła tę placówkę, jest znany działacz polonijny Tadeusz Mielnicki.

* W dniach 5—13 maja w Moskwie, Smoleńsku i Klinie odbył się jubileuszowy, dziesiąty festiwal pt. „Moskiewskie gwiazdy", na którym zaprezentowano wybitne zespoły wokalne i instrumentalne.

Film

* W Krakowie odbyła się prapremiera nowego polskiego filmu „Na wylot", który jest debiutem reżyserskim realizatora telewizyjnego Grzegorza Królikiewicza i debiutem operatora Bogdana Dziworskiego. Treść jest osnuta na głośnej w okresie międzywojennym zbrodni popełnionej w Krakowie.

* Reżyser Konrad Nałęcki, twórca „Czterech pancernych i psa", przygotowuje pod Giewontem nakręcanie siedmioodcinkowego serialu telewizyjnego „Ród Gąsieniców".

* Oto kilka oświadczeń Brigitte Bardot z jej ostatniego wywiadu dla telewizji francuskiej: jestem kobietą, a nie tylko gwiazdą; tzw. mit Bardot nic mnie nie obchodzi; to Vadim stworzył postać, która zrodziła ten mit, a nie ja; zmuszanie kobiety do rodzenia niechcianego dziecka nie mieści się w głowie; młodzież nie bardzo wie, czego sama chce.

Różne

* W dniach 3—4 maja odbyło się w Warszawie międzynarodowe spotkanie intelektualistów, stanowiące jeden z akcentów przygotowań do Światowego Kongresu Sił Pokoju, który w październiku odbędzie się w Moskwie. W spotkaniu wzięło udział 60 twórców i naukowców różnych krajów.

* Zespół Pieśni i Tańca „Opole", któremu patronuje tamtejszy WZSP, obchodzi 20-lecie. W tym czasie dał ponad 800 koncertów w kraju i poza jego granicami.

* Za książkę „Cyceron", wydaną także we Włoszech, członek PAN i profesor Uniwersytetu Warszawskiego Kazimierz Kumaniecki otrzymał od burmistrza Rzymu złoty medal, będący insygnium nagrody kulturalnej Wiecznego Miasta.

* Mamy obecnie w kraju 11 parków narodowych o łącznej powierzchni 94 tys. ha. Rezerwatów przyrody jest 598 o łącznej powierzchni 5700 ha, a pomników przyrody ponad 7200.

* Przy Polskim Związku Kulturalno-Oświatowym w Cieszynie Czeskim powstał kabaret „Prąd", grupujący młodych artystów „Sceny Polskiej".

* Po wielu zabiegach w Londynie zapadła decyzja zachowania w niezmienionym stanie salonu w mieszkaniu przy Eaton Place 99, w którym swego czasu koncertował Chopin.

* W St. Louis w Stanach Zjednoczonych powstał miesięcznik „Przegląd Polski", poświęcony sprawom kultury. Będzie on propagował wśród Polonii osiągnięcia polskiej literatury, teatru, muzyki i grafiki.

* Z inicjatywy Australijsko-Polskiego Stowarzyszenia Kulturalnego Południowej Australii odbył się w Adelaidzie pierwszy zjazd przedstawicieli polskich organizacji polonijnych.

* Simenon raz jeszcze potwierdził, że skończył z pisaniem — ale tylko zawodowym. Jak bowiem powiedział ostatnio, być może będzie pisał dla własnych dzieci. I dodał: „Teraz chcę siedzieć w fotelu i opowiadać sobie samemu historie, o których zresztą niezwłocznie zapomnę. Wiem, że w ten sposób wcale nie będę się nudził".

Lubliniana

* Koło Geografów UMCS przygotowuje wyprawę naukową na Bliski Wschód. Przeszło dwumiesięczna wyprawa przemierzy Turcję, Syrię, Liban, Irak, Iran i Kuwejt.

* Kino Oddziału Wojewódzkiego TPPR w Lublinie zostało zlikwidowane. Po remoncie lokalu zostanie tam otwarty na jesieni piękny klub.

* Przy ul. Hutniczej w Lublinie otwarto nową księgarnię. Dom Książki zapowiada uruchomienie dwóch dalszych także na przedmieściach.

* W województwie utworzono trzy nowe rezerwaty przyrody: Brzeźno w pow. chełmskim (154 ha), Brudzieniec w pow. włodawskim (36 ha) i Feliksówka w pow. radzyńskim (kolonia czapli siwej).

Kamena str. 2

Świat, w którym żyjemy

BULDOŻERY I CYWILIZACJA

O dramatycznej walce Japończyków przeciwko groźnym wrogom środowiska naturalnego człowieka — masom plastycznym i środkom owadobójczym pisał duński dziennik „Politiken".

Przez wiele lat naukowcy wysilali swe umysły, by wynaleźć materiały mogące zastąpić metale i drewno oraz środki skutecznie zwalczające szkodniki roślinne. Dziś uczeni muszą wysilać umysły, by znaleźć sposoby zwalczenia skutków swych poprzednich odkryć.

Niezaprzeczalnie, wynalezienie mas plastycznych i środków owadobójczych było wielkim dobrodziejstwem dla ludzkości. Zastosowanie środków owadobójczych przyczyniło się poważnie do zwiększenia plonów w rolnictwie, warzywnictwie i sadownictwie, ale równocześnie wzrosło ryzyko, że przy powąchaniu kwiatka lub spożywaniu owocu człowiek wchłonie porcję trującej substancji np. DDT. W Japonii problem ten przybrał groźne rozmiary. Japończycy stosują olbrzymie ilości środków owadobójczych, pozwoliło im to w stosunkowo krótkim czasie stać się eksporterami ryżu, mimo że jeszcze do niedawna Japonia musiała ryż importować. Ale skutki nie dały na siebie zbyt długo czekać. Japonia jest cała przesiąknięta trującymi substancjami, które znajdują się wszędzie: w roślinach, w glebie, w wodzie. Równocześnie Japonia stała się jednym z największych na świecie producentów mas plastycznych z takim skutkiem, że dziś trudno znaleźć w tym kraju skrawek ziemi, zakątek placu czy ulicy, nawet gaj bambusowy na wsi, nie zaśmiecony odpadkami plastyku, opakowaniami z tego materiału. W japońskich miastach potężne buldożery równają wielkie stosy plastykowych śmieci na miejskich wysypiskach, by przygotować place pod budowę nowych fabryk. Jak twierdzi nadburmistrz Tokio, prof. Minobe, stolica Japonii prowadzi ciężką walkę z odpadami, których dziennie przybywa jej ok. 13 tysięcy ton. Góry opadów rosną w miarę wzrostu dobrobytu w kraju.

Tokio zatrudnia 10 500 ludzi w zakładzie oczyszczania miasta. W ciągu 1965 r. odpady plastyku stanowiły zaledwie 3,8 proc. ogółu odpadów, ale w 1970 r. — ponad 10 proc., czyli 320 tysięcy ton. Dziś plastyk stał się dla ojców miast japońskich trudnym problemem, albowiem duża zawartość tego materiału w ziemi czyni grunt mało stabilnym. Nie można na nim stawiać wielkich budowli.

W skali całego kraju wyprodukowano w Japonii w 1970 r. pięć milionów ton plastyku, czyli na głowę mieszkańca 50 kg rocznie. W 1975 r. produkcja wyniesie ponad dziesięć milionów ton. Co wówczas robić z olbrzymią masą odpadów plastykowych? Próbowano je już niszczyć w potężnych młynach, ale ich budowa jest kosztowna i potencjał przerobowy niewspółmierny z ilością „surowca".

W mieście Chiba, nieopodal Tokio, pewien naukowiec działający z ramienia rządu, opracowuje, jak się wydaje, skuteczną metodę niszczenia masy plastykowej: jego zabiegi idą w kierunku wynalezienia bakterii, powodującej proces rozkładu plastyku. Ale czy uda mu się spowodować tak szybkie rozmnażanie bakterii i w tak potężnych ilościach, aby potrafiły dać radę rosnącym górom odpadów plastykowych?

ZDROWIE I DOLARY

„U. S. News and World Report" pisze, że w 1972 r. Amerykanie wydali na leczenie 68,1 mld dolarów, ponad dwukrotnie więcej niż przed sześcioma laty. Brak powszechnego systemu ubezpieczeń i stale wzrastające koszty lecznictwa to jeden z newralgicznych problemów USA. Ostatnie dane dowodzą, że w Stanach Zjednoczonych wraz ze wzrostem kosztów utrzymania rosły koszty opieki lekarskiej, jednak zestawienia z lat 1955—1972 wykazują, że opłaty za lecznictwo rosły znacznie szybciej niż za towary i usługi, bo podczas gdy te ostatnie wzrosły o 33 proc., to koszty lecznictwa aż o 50 proc. Największą część ogólnej sumy wydatków na opiekę lekarską pochłonęło lecznictwo szpitalne. Jego koszty rosły też w najszybszym tempie: od 1960 r. dzienny koszt leczenia szpitalnego wzrósł o 204 proc. i obecnie wynosi przeciętnie około 92 dolarów.

Wzrost kosztów opieki lekarskiej najbardziej uderza w ludzi starych, których dochody w związku z przechodzeniem na emerytury i renty maleją, a potrzeby w zakresie lecznictwa zwiększają się. Według danych statystycznych Amerykanin, który przekroczył 65 rok życia, obecnie wydaje rocznie na różnego rodzaju usługi służby zdrowia przeciętnie 861 dolarów, podczas gdy dla grup wieku 19—64 koszty te kształtują się na poziomie 323 dolarów rocznie, a dla obywateli poniżej 19 lat wynoszą 140 dolarów rocznie. Eksperci przewidują, że koszty opieki lekarskiej będą nadal wzrastać i w 1975 r. przekroczą sumę 100 mld dolarów.

PRZESTĘPCY CORAZ MŁODSI

Zachodnioniemiecki tygodnik „Der Spiegel" zamieścił serię artykułów poświęconych przestępczości w NRF.

Coraz częściej młodociani w NRF popełniają czyny karalne.

Mordują, jak 13-letni uczeń, który w ubiegłym roku zadusił 3-letnią dziewczynkę, jak 13-letni uczeń z Gummersbach, który zatłukł na śmierć 81-letnią rencistkę, jak 16-letni robotnik z Juelich, który przyznał niedawno, że zabił 4-letnią dziewczynkę „z czystej chęci mordu".

Rabują i szantażują, jak sześciu młodych ludzi w wieku od 17 do 19 lat, którzy dokonali kilku zbrojnych napadów na banki, zdobyli 200 tysięcy marek i zostali wreszcie złapani w ub. r. w Essen; jak 14-letni uczeń z Paderborn, który w listopadzie ub. r. grożąc podłożeniem bomby próbował wymusić na urzędnikach bankowych 500 tysięcy marek.

Palą marihuanę i zażywają opium doprowadzając siebie samych do ruiny i śmierci.

Kradną i włamują się seriami, jak 16-letni Karlheinz Manus z Hanau, który dokonał 15 włamań i postawił na nogi policję na obszarze całej Republiki.

Od Monachium po Kilonię pracownicy urzędów do spraw młodzieży i rzecznicy policji mówią: „Nasi sprawcy są coraz młodsi".

Do przestępstw niemało przyczynia się telewizja, zwłaszcza gdy posyła swych operatorów na miejsce napadu — jak to było w Monachium przy napadzie na bank. Widzowie oglądają wówczas „kryminał z życia". Że przestępczość wśród młodzieży wzrośnie proporcjonalnie do podniecenia sprawami kryminalnymi — to nie ulegało wątpliwości.

„Der Spiegel" zauważa, że nieproporcjonalnie wysoki jest wzrost przestępstw przy użyciu siły. Młodociani tworzą bandy, jak zaraza szerzy się maromania. W latach 1963—1970 liczba ukaranych przestępstw przy użyciu siły, dokonanych przez sprawców w wieku od 14 do 21 lat, wzrosła z 8425 do 9480, a więc o 13 proc.

Zdaniem ekspertów przestępczość młodzieży w NRF uda się zahamować tylko wówczas, gdy zmianie ulegnie cały system wychowania publicznego.

URBANISTYKA CMENTARNA

Gdzie grzebać zmarłych? Ten brutalny problem jest dla wielkich skupisk ludzkich tak samo palący jak problem mieszkań dla żywych. Przestarzałym cmentarzom komunalnym grozi takie samo przeludnienie w obliczu inflacji demograficznej, będącej logiczną konsekwencji wędrówki do miast.

Na marginesie tego problemu „Le Figaro" doniosło, że po Nicei i Nantes również władze miejskie Marsylii powzięły w 1967 roku decyzję opracowania programu „urbanistyki cmentarnej". Pierwszy budynek według tego programu stanął na cmentarzu Saint Pierre.

Budynek ma długość 200 m i szerokość 30 m. Składa się z 6 tysięcy przegródek, z których każda mieści jedną trumnę. Budynek nazwano „kryptowcem", przez analogię do dawnych krypt-grobowców, mieszczących się pod posadzką kościołów czy kaplic. Jednakże podczas gdy prawo do pogrzebania w krypcie kościelnej przysługiwało tylko przedstawicielom warstw uprzywilejowanych, w marsylskim „kryptowcu" obowiązuje bardziej demokratyczny regulamin. Taryfa opłat za wynajęcie krypty jest następująca: na 15 lat — 900 franków, na 30 lat — 1800 franków i na 50 lat — 3000 franków.

Ekshumowane po upływie co najmniej 15 lat szczątki mają być gromadzone w dwóch zbiorowych kostnicach — prywatnej i komunalnej. Budowę ich przewiduje się na obszarze 60 ha przy szosie wiodącej do Aubagne, gdzie powstanie w przyszłości wielki cmentarz marsylski. Po roku 1973 rozpocznie się tu budowa dwóch nowych „kryptowców" po 6 tysięcy pomieszczeń każdy.

Za Bugiem

ZWIĄZANA była z Przemyślem, tu też umarła w kwietniu 1947 roku. Ulana Krawczenko (Niementowska) — pierwsza poetka wschodniogalicyjska narodowości ukraińskiej — i to poetka nieprzeciętna. Tak ją oceniał współczesny jej Mychajło Kociubiński. Choć była zjawiskiem zupełnie innym niż Kociubiński (związany z literaturą światową i zrozumiały nie tylko dla Słowian) — znała ją bez mała cała Galicja, zwłaszcza ta wiejska. Krawczenko miała swój język, swoją własną składnię, swoją architektonikę i ornamentykę, w której była ogromnie skąpa, ale wytrawna. Ekspresja jej bowiem i umiejętność operowania skrótami jest zadziwiająca.

Urodziła się 18 kwietnia 1860 r. w miasteczku Mikołajów nad Dniestrem. Tu uczęszczała do szkoły powszechnej. Po ukończeniu lwowskiego seminarium rozpoczęła w 1881 roku pracę jako nauczycielka szkoły podstawowej w Bóbrce. Lecz miejsca tu długo nie zagrzała. Za propagowanie twórczości Iwana Franki przeniesiono ją karnie do wsi Stoki — gdzie... nie było szkoły. Ten błazeński akt administracji austriackiej wywołał oburzenie społeczeństwa, które zdołało już zapoznać się z pierwszymi wierszami poetki. Sprawą zajął się Iwan Franko umieszczając w prasie kilka artykułów o nieszczególnej sytuacji dobrze zapowiadającej się młodej pisarki. Ostatecznie poetkę w 1883 roku przeniesiono do jednej ze szkół we Lwowie.

Jeszcze w seminarium Ulana Krawczenko przejęła się twórczością i ideą radykalizmu społecznego Iwana Franki — ale pierwsza znajomość z nim nastąpiła w sposób wręcz przypadkowy. W roku 1883 Ulana Krawczenko wysłała do wydawnictwa swoją powieść „Marta" napisaną podobnie jak „Marta" Orzeszkowej w duchu emancypacyjnym. Oceniając ją Iwan Franko znalazł między kartkami brulionu wiersz pt. „Zhadaj mene mytyj". Jakie było zdziwienie poetki, gdy przeczytała ów wiersz w najbliższym numerze „Zorii", której Franko był redaktorem.

Jeszcze tego samego roku Iwan Franko złożył poetce osobistą wizytę w Bóbrce. Od tego czasu datuje się ich zażyła i serdeczna przyjaźń.

Pod redakcją Franki wyszły drukiem jej pierwsze zbiory wierszy i opowiadań: „Prima vera", „Na nowyj szlach", „W dorohu", „Lebedyna pisnia", „Szelesty nam, barwinoczku", „Prolisky", „Moji kwity", „Spohady wesnyanky" i in.

Działalność literacka Ulany Krawczenki przypada na okres walki o emancypację kobiet w Galicji Wschodniej, którą zapoczątkowała i skutecznie prowadziła Natalia Kobryńska. W ruchu Kobryńskiej nie mogło — rzecz jasna — zabraknąć Ulany Krawczenki. Ten właśnie fakt zadecydował o zwolnieniu jej z posady państwowej. Ale tym razem w obronie znanej już szerokiemu ogółowi poetki stanęły większe kręgi inteligencji ukraińskiej i polskiej — wśród nich Jan Kasprowicz. Dzięki wspólnej akcji władze austriackie zmuszone były ponownie przyjąć poetkę do pracy, w której już nieprzerwanie wytrwała do 1929 roku.

W 1929 roku Ulana Krawczenko jako emerytowana nauczycielka zamieszkała na stałe w Przemyślu. Nie troszcząc się „o chleb codzienny" teraz poetka mogła w całości poświęcić się pracy literacko-społecznej.

W Przemyślu, w latach 1939—1941, wiersze i artykuły poetki można było spotkać w pismach: „Literatura i mistectwo", „Literaturna hazeta" i in.

W całej twórczości Ulany Krawczenki przewijają się motywy społeczne i patriotyczne, jak w ogóle w całej jej niezmordowanej pracy widoczne są cele nie czysto artystyczne, lecz bardziej patriotyczno-utylitarnej natury. Czynność literacką pojmowała ona jako spełnienie obowiązku obywatelskiego, jako służbę narodowi.

W Mikołajewie i Bóbrce ludzie chodzą po ulicach jej imienia. W szkole, do której uczęszczała, urządzono muzeum. Większość znajdujących się tam pamiątek podarowała muzeum córka poetki mieszkająca stale w Przemyślu.

Byłoby rzeczą piękną, żeby z okazji 113 rocznicy urodzin poetki w sposób wyraźny upamiętniono jej pobyt w Przemyślu. W mieście mamy już ulicę Jarosława Hałana (Gałana) — wielkiego syna narodu ukraińskiego, który tu się urodził. Warto w sposób podobny upamiętnić 27 letni pobyt przemyski Ulany Krawczenki. Może jednej z licznych tamtejszych szkół nadać jej imię — była wszak nauczycielką?

Sądzę, że poetka, która całe życie walczyła o zbliżenie Ukraińców i Polaków zasługuje na skromne wyróżnienie.

Edward Prus

Dziecko potrzebne a niechciane

Jerzy Dostatni

WCZORAJ w południe na mój redakcyjny telefon zadzwoniła jakaś sympatyczna pani i zaczęła mnie gorąco prosić, abym najdalej w ciągu trzech dni zechciał pomalować na zielono jakieś dwie żelazne bramy. Wprawdzie podczas okupacji trudniłem się i malowaniem, być może jeszcze dzisiaj zdałbym egzamin na pomocnika malarza — z żalem musiałem jednak odmówić. Okazało się przy okazji, że to biuro informacji Wojewódzkiego Związku Spółdzielni Pracy podało ten telefon jako punkt przyjęć spółdzielni malarskiej. Moja rozmówczyni zapewniała, że już od dwóch dni poszukuje gorączkowo malarza, prywatnego lub uspołecznionego, do wykonania owej pilnej roboty, ale znaleźć nie może. Każdy tłumaczy się, że jest zawalony robotą.

Dzisiaj siedzę w biurze WZSP i słucham dziesiątków liczb, mających scharakteryzować działalność tej organizacji. W sumie obraz jest optymistyczny, chociaż nie brakuje na nim ciemnych plam. Pamiętając o wczorajszym telefonie, przede wszystkim interesuję się usługami. Bo przecież nie kto inny jak spółdzielnie pracy powinny odgrywać decydującą rolę w tej dziedzinie naszej gospodarki. I odgrywają — jeżeli porównać z organizacjami państwowymi czy rzemieślnikami indywidualnymi.

Rzecz tylko w tym, że właściwie nikt nie wie, jakie jest zapotrzebowanie na usługi. I na jakie. Prawdę powiedziawszy, potrzeby są pokryte tylko w jednym zakresie: usług szewskich. Ale nie dlatego, że ktoś potrafił stworzyć dostatecznie gęstą sieć punktów usługowych, lecz dlatego, że wskutek stosunkowo niskich cen butów mało kto oddaje stare do naprawy. Nie opłaca się — lepiej kupić nowe.

Otwiera się więc punkty usługowe często po prostu „na nosa". Bywa, że wskutek interwencji żony jakiegoś lokalnego notabla. Potem okazuje się, że albo nos był zakatarzony, albo żona myślała tylko o sobie.

W Radzyniu w nowym pawilonie, którego budowa kosztowała 6 mln zł, zainstalowano fryzjera. Jego miesięczny obrót wynosi około 300 zł, co nie wystarcza nawet na pokrycie kosztów eksploatacji. Inne punkty uruchomiono w Terespolu, a potem trzeba było dowozić fachowców z Lublina, bo na miejscu nie było ani jednego. No i jak tu wyjść na swoje?

Z drugiej strony trzeba powiedzieć, że wiele spółdzielni pracy nie ma i nie chce mieć nawyku świadczenia usług. I właściwie — tak prywatnie mówiąc — trudno im się dziwić. Rzecz bowiem od lat rozbija się o sposób rozliczania spółdzielni z wykonania planów. Mimo że w niektórych dziedzinach gospodarki już odeszliśmy od dawnego sposobu, spółdzielczość pracy wciąż ocenia się według przerobu wartościowego, do którego wlicza się wartość zużytego materiału, a nie tylko produkcję czystą.

Jeżeli więc przyjdę do spółdzielczego krawca z własnym kuponem materiału na ubranie, będzie on robił wszystko, aby pozbyć się takiego klienta. Bo w obrocie zapisze tylko osiemset czy tysiąc złotych zamiast trzech tysięcy. I aby wykonać ten sam plan będzie musiał uszyć trzy garnitury zamiast jednego, gdy klient kupi materiał u niego. Podobnie będą usiłowali spławić moją żonę z punktu usługowego „Lubgalu", jeżeli zechce tam zrobić sobie jakąś garsonkę z własnego surowca.

Zresztą najbardziej kusi przejście na zwykłą produkcję. Robota prosta, taśmowa, zunifikowana, klient nie grymasi o każdy drobiazg. I z handlem hurtowym też łatwiej się dogadać niż z indywidualnym klientem. Kiedy się szyje płaszcze dla handlu, dodaje się np. kołnierz z misia — najlepiej zresztą z jakiegoś choćby najgorszego futerka — i już płaszcz jest o ileś tam złotych droższy. Prywatnemu klientowi nie zawsze da się wmówić wyrób droższy, więc co za interes robić więcej, taniej i jeszcze ta to dostać mniejszą premię?

W odczuciu przeciętnego obywatela spółdzielnia pracy powinna produkować przede wszystkim na rynek lokalny, świadcząc zarazem dla niego różnego rodzaju usługi. I taki jest, w teorii, sens istnienia spółdzielczości pracy. Tymczasem w praktyce wskutek różnych okoliczności, nie wyłączając także nacisków mniej lub więcej urzędowych, zmuszano spółdzielnie do produkcji zaopatrzeniowej. Zamiast uzupełniać — niekiedy zastępowały one przemysł kluczowy. Był również przed kilku laty okres, gdy angażowano spółdzielnie tylko do kooperacji z przemysłem kluczowym. Prawdę powiedziawszy, obie strony były tu zadowolone. Przemysł kluczowy pozbywał się kłopotów z produkcją drobnych — chociaż nie zawsze tylko drobnych części, spółdzielnia na długie lata miała zapewnioną produkcję i zabezpieczony przez potężnego kooperanta surowiec. Przemysł płacił spółdzielni ze środków obrotowych, nie naruszało to więc jego funduszu płac, co dyrektorowi „z klucza" pozwalało na różne manewry płacowe wewnątrz własnego przedsiębiorstwa. Spółdzielnia przy wstępnych rozmowach argumentowała, że jej zadania są inne, no ale ostatecznie gotowa jest pomóc, jeżeli przedstawiona przez nią kalkulacja zostanie przyjęta... A ponieważ tak nie tylko bywało, ale jeszcze bywa, nie dziwmy się, że i z usługami i z uzupełnieniem zaopatrzenia lokalnego rynku jest jeszcze różnie. I nic dziwnego, że indywidualnego klienta niezbyt chętnie widzi się w spółdzielni.

Na tej naradzie w WZPS zaskoczyło mnie jeszcze jedno. Jak wiemy z codziennej praktyki, nasze sklepy są, mimo różnych jeszcze braków, zaopatrzone coraz lepiej. Ostatnio nawet w lubelskim PDT sprzedawano włoskie kalesonki letnie, co osobiście, ze względu na możliwości naszego własnego przemysłu lekkiego, uważam za lekką przesadę. Wobec lepszego zaopatrzenia klient coraz bardziej wybiera, grymasi, żąda. I słusznie. Więc każdy wytwórca musi dążyć do tego, aby dawać towar lepszy, modniejszy, przyjemniejszy. Czyli produkować tzw. nowości rynkowe, za które zresztą przez pewien czas ma prawo pobierać wyższą cenę.

Tymczasem ta niezwykle ważna sprawa w lubelskiej spółdzielczości pracy przedstawia się fatalnie. Oto przy rocznej produkcji wartości przeszło dwa i pół miliarda złotych — wartość wyprodukowanych nowości w roku bieżącym wyniesie około 96 milionów zł, czyli 3,5 procent. Kiedy powiedziałem głośno, co o tym myślę — a czego tu nie napiszę — jeden z wiceprezesów wyjaśnił, że to się zgadza z jakimiś tam wskaźnikami Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Usług, że to przecież oznacza 25 procent wartości przyrostu rocznej produkcji. No tak, liczyć można różnie — jeżeli w tym roku wyprodukuję dwa samochody, a w przyszłym cztery — to mam sto procent wzrostu i żaden Ford czy FSO w dynamice wzrostu mnie nie dogoni. Tylko obaj producenci nawet nie zauważą istnienia takiej „konkurencji", jak moja.

I niech sobie w MHWiU mówią to czy tamto — faktem jest, że trzymanie się takich wskaźników oznacza w praktyce, że unowocześnienie całej produkcji trwałoby prawie 30 lat. Czyli produkt, który dziś opuści spółdzielnię, zostałby ulepszony czy zastąpiony innym dopiero w drugiej pięciolatce XXI wieku! Nonsens jest chyba tak oczywisty, że nie warto na ten temat nawet dyskutować. I jestem przekonany, że jeżeli narodził się on w MHWiU — to gdzieś na szczeblu pośrednim. Gorzej, że niemal jako obowiązujące prawo dotarł do WZSP w Lublinie. I może służyć za parawan w produkowaniu bubli.

A przecież nam wszystkim chodzi o coraz wyższą jakość produkcji. Chociażby dlatego, że część jej — nie nazbyt znowu wielka — powinna iść na eksport. W półprywatnej rozmowie z jednym z członków dyrekcji WZSP dowiedziałem się np., że lubelskie spółdzielnie pracy mogłyby bez większego trudu dosyć znacznie zwiększyć produkcję eksportową, gdyby nie ów tylko wartościowy sposób rozliczania ich z wykonania planów. Otóż jedną z najbardziej opłacalnych form eksportu jest eksport pracy, polegający na uszlachetnianiu surowca. To się tak mądrze nazywa, a polega na tym, że zagraniczny kontrahent przesyła surowiec, dostarcza wzory i potem płaci w wymienialnych dewizach za wykonany u nas towar. Na zdrowy rozum zysk i dla spółdzielni i dla państwa jest oczywisty. Ale nie przy sztywnych, wciąż utrzymujących się przepisach. No bo w wartości produkcji, wykazanej przez tak pracującą spółdzielnię, tkwi tylko wartość pracy i innych związanych z nią kosztów, natomiast brak rzeczy najdroższej — wartości surowca. Więc takie transakcje przeprowadza się ostrożnie, od czasu do czasu i tylko wtedy, gdy produkcja liczona „normalnie" zapewnia wykonanie planu oraz premie. Inaczej — apage satanas! Krajowy klient z jednym kuponem na ubranie czy zagraniczny z wagonem wełny na jakąś dzianinę jest równie niepożądany.

Wydaje się również, iż nadszedł już czas, aby plany produkcji rynkowej dla spółdzielczości pracy były wreszcie elastyczne. Gdy np. w FSC robią plany roczne, to wiedzą, że trzeba będzie wyprodukować 20 lub 30 tysięcy „Żuków", ileś ton odlewów, setki tysięcy kół i resorów — oraz że to równa się tylu a tylu milionom czy miliardom złotych. Dla spółdzielczości pracy (zresztą nie tylko dla niej) plan roczny oblicza się w ten sposób, że do planu poprzedniego roku dodaje się 10 czy 15 procent wzrostu — i sprawa załatwiona. Papierkowo tak, a w praktyce? Nagle przychodzi np. moda na mini-spódniczki. Materiałów idzie mniej, wartość produkcji spada. Jednego roku są modne płaszcze do figury — innego raglany. Znów różnica. Jednak plan finansowy jest sztywny, ani myśli podporządkować się modzie, nasyceniu rynku czy jakiemuś nagłemu zapotrzebowaniu na tani, ale bardzo poszukiwany artykuł. No i jeżeli prezes spółdzielni jest człowiekiem, który rzeczywiście chce nadążać za potrzebami rynku — będzie się miał z pyszna na najbliższym zebraniu zarządu, nie mówiąc o codziennych utarczkach z pracownikami, którzy nie otrzymują premii. Ba — i władze zwierzchnie i ogólne zebranie członków mogą dojść do wniosku, że ponieważ spółdzielnia nie wykonuje planów — prezesa trzeba zmienić. Następny już na pewno nie wychyli się w stronę zapotrzebowania klientów.

I jeszcze jeden dziwoląg. Spółdzielnie pracy znajdujące się w Lublinie produkują towary i świadczą usługi wartości ponad miliarda złotych. Tymczasem wartość wszystkich posiadanych przez nie maszyn i urządzeń nie przekracza 10 milionów złotych. Niemożliwe? Ano możliwe — część z nich już się podczas czterdziestoletniej czy choćby dwudziestoletniej pracy całkowicie zamortyzowała, inne w pokaźnej części. Ale te stare graty jakoś utrzymuje się przy użyciu po prostu dlatego, że nowych nie ma. W ogóle to są, tylko lubelski WZSP jest przez swój centralny związek traktowany trochę jak nieślubne dziecko, na które nie chce się płacić alimentów.

Dowody? Jest ich bez liku. Prezes WZSP powiada, że niedawno obliczali, iż aby unowocześnić park maszynowy w spółdzielniach województwa, powinni otrzymać 450 milionów złotych. Drugie 450 milionów powinno się wydać na roboty budowlano-instalacyjne.

Tymczasem cały przydział limitów inwestycyjnych w roku ubiegłym wyniósł 83 miliony zł. W roku bieżącym będzie wprawdzie 135 milionów zł, ale dlatego, że można stawiać małe pawilony wartości do 2 milionów zł poza owymi zaczarowanymi limitami. Ale za 2 miliony zł można wybudować tylko mały pawilon w jakieś gminie czy mniejszym miasteczku. W Lublinie lub większych miastach powiatowych na takie małe obiekty w ogóle nie otrzyma się zezwolenia od władz architektonicznych. Zresztą zupełnie słusznie.

Ale i na większe, zatwierdzone przez CZSP inwestycje, środki z tego Centralnego Zarządu kapią jak ze źle wykonanego kroplomierza. Ledwo skończono budowę obiektu dla lubelskiej „Bajki", już trzeba było rozpoczynać rozbudowę, bo obiekt był mocno za mały, a na większy nie można było wydębić odpowiedniej sumy. To samo czeka w najbliższej przyszłości Spółdzielnię Galanterii Skórzanej czy „Przełom". Spółdzielnia „Tęcza" potrzebuje na nowy obiekt 30 milionów zł, ale dostała 21 — więc obiekt trzeba zmniejszać chociaż wiadomo, że już na dzisiejsze potrzeby będzie za mały.

Jak z tego niepełnego przecież przeglądu widać, spółdzielczość pracy w minionych latach nie znalazła jednak trwałego, należnego sobie miejsca w naszej ekonomice. Teraz nie wszystko od razu da się naprawić, zwłaszcza że owa naprawa wymaga — tylko w województwie lubelskim — miliarda złotych. Zresztą nie o same pieniądze tylko chodzi. Jesteśmy właśnie na drodze generalnego porządkowania naszej gospodarki. Zrobiliśmy już bardzo wiele — ale wiele jeszcze przed nami.

Kto takich zastąpi?

Fot. J. Urban

75 lat Towarzystwa Muzycznego

Aleksander Czapski

ZAŁOŻONE w roku 1898 Towarzystwo Muzyczne w Lublinie obchodzi 75-lecie nieprzerwanej działalności. Obchody jubileuszowe odbędą się w dniach od 19 do 23 maja. Inauguracją ich będą II Dni Henryka Wieniawskiego, które zakończą się w dniach 21—27 listopada II Ogólnopolskim Festiwalem Młodych Skrzypków. W festiwalu tym wezmą także udział młodzi artyści z miast zaprzyjaźnionych z Lublinem — Łucka, Brześcia, Debreczyna i Modeny.

Towarzystwo powstawało w czasach niewoli, gdy władze carskie odnosiły się niezwykle podejrzliwie do wszystkiego, co mogło budzić uczucia patriotyczne wśród społeczeństwa polskiego. Nic dziwnego więc, że projekt statutu był zatwierdzany 14 miesięcy i ostateczna decyzja zapadła aż w Petersburgu. Zebranie organizacyjne odbyło się ostatecznie 26 sierpnia 1898 roku, a prezesem został główny inicjator, adwokat Władysław Modrzewski. W ciągu roku liczba członków wzrosła do 213, co świadczy o odczuwanej przez mieszkańców Lublina potrzebie powołania placówki, krzewiącej polską kulturę muzyczną i śpiewaczą.

Mimo różnych szykan ze strony władz carskich, Towarzystwo organizuje koncerty symfoniczne oraz poranki muzyczne, które zdobywają sobie coraz więcej słuchaczy. W repertuarach znajduje się przede wszystkim muzyka polska, co było wielkim i trwałym wkładem w wzmacnianie świadomości narodowej społeczeństwa. Wkrótce podjęto także starania o uruchomienie szkoły muzycznej, jednakże mimo wielu zabiegów nie uzyskano na to zgody. Szkołę taką udało się zorganizować dopiero w czasie pierwszej wojny światowej, gdy carskiej Rosji okresowo zależało na pozyskaniu sobie polskiego społeczeństwa.

Rok 1918 wraz z niepodległością przynosi nowe możliwości rozwoju. Towarzystwo w coraz szerszym zakresie kontynuuje akcję koncertowo-wokalną, ale wprowadza i nowe formy działalności: różne konkursy o charakterze ogólnopolskim, których ukoronowaniem był Festiwal Pieśni Polskiej w czerwcu 1939 roku. Celem innych konkursów było przedstawienie całościowego dorobku wybitnych polskich kompozytorów i wykonawców, jak np. Szymanowskich, Artura Rubinsteina, Wiłkomirskich, Ady Sari czy Drzewieckiego. Opiekuje się też pieczołowicie średnią szkołą muzyczną im. Stanisława Moniuszki, która w rezultacie wysokiego poziomu nauczania otrzymuje nazwę i prawa Instytutu Muzycznego. Sprawuje również patronat nad prywatną szkołą muzyczną Wacława Grudzińskiego.

Trzeba jednak przyznać, że — chociaż działalność Towarzystwa była bardzo różnorodna i wnosiła wiele w życie kulturalne Lublina — była to jednak działalność raczej elitarna, co wynikało z ówczesnych stosunków polityczno-społecznych.

Okres okupacji oznacza oficjalne zawieszenie działalności, chociaż koncerty dla rannych żołnierzy organizowano nawet jeszcze w połowie 1940 roku. Przez cały czas okupacji odbywają się jednak nielegalne koncerty w mieszkaniach prywatnych, a muzycy kształcą młodzież na tajnych kompletach czy lekcjach indywidualnych.

Nowy zarząd z prezesem inż. Ludwikiem Chełmińskim ukonstytuował się w czerwcu 1945 roku. Sprzyjające warunki pozwalają na podjęcie szerokiej działalności oraz wysuwanie coraz to nowych inicjatyw. Towarzystwo Muzyczne obejmuje patronat nad całym życiem muzycznym w Lublinie i w województwie. Na zlecenie Związku Zawodowego Muzyków Polskich organizuje całe serie koncertów. Reaktywuje orkiestrę symfoniczną, której powstaniu patronowało jeszcze przed wojną. Dyrektorem jej zostaje Jan Widmański, a dyrygentem Zygmunt Szczepański. Orkiestra ta przez kilka miesięcy na przełomie lat 1946—1947 podlegała władzom miejskim, aby następnie znów wrócić pod opiekę Towarzystwa. W listopadzie Lubelska Filharmonia Towarzystwa Muzycznego zostaje upaństwowiona i działa do dzisiaj, nadal ściśle współpracując ze swoim dawnym opiekunem. Towarzystwo reaktywuje także istniejące dawniej szkoły muzyczne, które następnie zostają upaństwowione, co zapewnia im znacznie lepsze warunki pracy. Nie mniej do roku 1969 istniała jeszcze przy Towarzystwie Społeczna Średnia Szkoła Muzyczna, przekształcona następnie na Państwową Szkołę Muzyczną II stopnia.

Towarzystwo szuka nowych form działania. Znajduje je najpierw przez utworzenie sekcji estradowej. W jej skład wchodzą przede wszystkim członkowie chóru „Echo", którzy przy udziale wybitnych solistów Warszawskiej Opery Objazdowej organizują w Lublinie i w miastach powiatowych różnego rodzaju imprezy muzyczne, a zwłaszcza cieszące się wówczas szczególnym powodzeniem operomontaże.

W tym czasie w różnych rejonach kraju zaczynają powstawać społeczne ogniska muzyczne. Nie wszyscy doceniają rolę, jaką mogą one spełnić w popularyzowaniu kultury muzycznej, zwłaszcza zaś wśród młodzieży. Towarzystwo jednak od pierwszej chwili podejmuje akcję organizacyjną, a następnie pomaga w rozwijaniu pracy ognisk. Od stycznia 1965 przejmuje od Wydziału Kultury Prezydium WRN wszystkie ogniska społeczne, służąc im pomocą organizacyjną i merytoryczną, dzięki czemu stały się one ważnym czynnikiem masowego ruchu muzyczno-kulturalnego w województwie. Ognisko w Puławach w wyniku wysokiego poziomu nauczania zostało przekształcone w Podstawową Szkołę Muzyczną I stopnia.

Ostatnie lata to przede wszystkim tworzenie oddziałów terenowych Towarzystwa jak również zagęszczanie sieci ognisk. W chwili obecnej Towarzystwo posiada 16 oddziałów w miastach powiatowych, 62 ogniska muzyczne (wraz z filiami), 3 ogniska rytmiczne i baletowe. W ogniskach uczy się 2689 uczniów, nauczycieli zaś jest 124.

W roku 1970 Towarzystwo zorganizowało I Dni Henryka Wieniawskiego, które objęły wiele koncertów i recitali w Lublinie i innych miastach województwa. Dni były połączone z Festiwalem Młodych Skrzypków, którego najlepszy uczestnik otrzymał stypendium Towarzystwa. Imprezy te będą odbywały się co trzy lata. Niezależnie od tego z inicjatywy Towarzystwa w Radzyniu odbywają się co roku wieczory muzyczne poświęcone twórczości Karola Lipińskiego, syna ziemi radzyńskiej. Na rok przyszły Towarzystwo opracowało program szerokiej działalności, którego celem jest pokazanie społeczeństwu dużego dorobku w zakresie upowszechnienia kultury muzycznej na naszym terenie.

Na zakończenie chciałbym publicznie podziękować za niezwykle życzliwą współpracę i pomoc prof. Irenie Dubiskiej, red. Jerzemu Waldorffowi oraz przewodniczącemu Prezydium WRN w Lublinie mgr. inż. Ryszardowi Wójcikowi.

POEZJA RADZIECKA

Kazimierz Lisowski

* * *

O nic nie winię cię. Bo po co?
I w gruncie rzeczy nie mam prawa.
Fala o brzeg uderzy z mocą
I cofnie się, lecz ślad zostawia.

Tu nawet ślad nie został marny
I nawet pamięć, moja miła,
Jedynie Gwiazdy ślad Polarnej
O tobie wciąż mi przypomina.

Ale to światło nie ma siły:
Sztuczne i nikłe przypomnienie
Tych lat, co w serce mi się wryły,
Gdzie ty przechodzisz lekkim cieniem.

* * *

Cóż takiego się właściwie stało?
Ano nic. Porosło wszystko trawą.

Zmarł po prostu tylko dobry człowiek,
Ludziom ciepła aż po kres udzielał.
Świeży wzgórek śnieżek jak listowie
W mig puszystą zasłonił pościelą.

Na zwiędniętych wieńcach szron bieleje.
Ot i wszystko....
Lecz serce: „To nie to —
Świat dokoła straszną pustką zieje,
Kiedy odszedł prawdziwy poeta".

* * *

O, stary oceanie,
mnie twoja ogromność
Po nocach nieprzerwanie będzie wciąż się śnić.
Gdzie jeszcze można znaleźć taką stałość,
skromność,
Gdzie jeszcze tacy ludzie, jak tu, mogą żyć?

Odpowiedz mi...
Otwarcie pytam ciebie zatem
Przez noc i mgłę wsłuchany w fal uparty ruch...
Czy słyszysz teraz mnie?
Odpowiedz, Lodowaty,
Tak wielki
jak człowieka
niezmierzony
duch.

Ognisko

Jeszcze gdy byłem małym skrzatem,
Jeszcze od mych chłopięcych dni
Wabił mnie dymu aromatem
Stos ognia, co się w tajdze lśnił.

Trzeszczą cedrowe w nim sucharze,
Miotając iskry w nocny cień.
Ognisko...

Jak nas hojnie darzy
Miłością,
Ciepłem
Lubych śnień.

Mruczy zaklęcia. Skry mkną chyło.
Węgielki dzwoniąc lecą w krąg...
Kto zziąbł,
Do ognia niech się zbliży,
By ogrzać przy nim
Zimno rąk.

Przełożył **K. A. Jaworski**

Rys. D. Opolski

* * *

Wśród górskich cedrów, tych olbrzymów,
w wilgoci tajgi, w mglistej dali,
tuli się stara jarzębina
ku stromej niby ściana skale.

Pełznący mech na sinej ścianie
i jej pień obrósł wśród zieleni.
Lecz ona stoi jak wyzwanie
rzucone niebu, wiatrom, ziemi.

Siwa, szramami wzdłuż rozdarta,
szumi koroną pobielałą.
Na przekór wiatrom
trwa uparta
i nie rozstaje się ze skałą.

Zda się,
że swą miłością srogą
patrzy spod brwi w swych dni ostatek
zblakłymi w trudach, w troskach, trwogach,
oczami prostych ruskich matek.

Za kroplą kropla...

Za kroplą kropla pada z nieboskłonu,
i oto ruczaj, chłopak rozigrany,
śpieszy ku rzece, do skał przytulonej...
A rzeki na Syberii, jak wiadomo,
do Lodowatego dążą oceanu.

Ich narodziny widziałem w Sajanach,
i dobrze mi — w dni blasku, łez czy swarów,
być kroplą, małą kroplą oceanu,
którego imię — Naród.

Przełożył **Tadeusz Ross**

Włodzimierz Cybin

Operacja serca

Akademikowi A. N. Bakulewowi

Pozostało już tylko to jedno...
Człowiek dyszy,
człowiek już serca nie słyszy —
człowiek umiera
na chorobę serca!
Serce — słońce czerwone!
Przez całe życie pracujące w biegu
teraz robi bokami
i miota się
jak ryba na brzegu,
i drży ci pod rękami.
I zda ci się, że zaraz
poruszy już płetwami
i ślepe z rąk wyskoczy naraz.
Człowiekowi szron do oczu zacieka
i cisza pod skalpelem wstępuje w człowieka,
i w żyłach spala się pulsu tętnienie,
i krzyk na wargach człowieka niemieje!
Na twoim czole weny jak węzły nabrzmiały,
na twych powiekach łzy się zatrzymały.
Aby człowiek mógł wskrzesnąć i żył,
boisz się w dłoni
zdusić pulsu żył.
Boisz się, że na posadzkę mógłbyś je uronić...
W serce wchodzi już za igłą nić
i serce dyszy niby jaź bokami,
i serce tęskni za ptakami i chmurkami,
i za tym, jak kropelka rosy lśni uroczo
na ręce ukochanej i na gruszy.
Śni już o wszystkim, co w nie wmurowały oczy
i pamięć, i ból, i uszy.
Człowiek nie dyszy,
człowiek serca nie słyszy,
choćbyś najmocniej je chwycił!
Życie jego zawisło
na cieniutkiej nici.
Lecz oto lgną do szyby obloki wesołe,
słonecznik strząsa pszczołę,
i gdzieś tam galaktyki niebo rozjaśniają,
i tramwaje wiosnę przecinają.
I wszystko to znów wróci do źrenic człowieka.
Człowiek zmartwychwstał
i już się uśmiecha,
i nawet ból zanika mu pod lewym bokiem.

I chirurg nie czuje się bogiem.

Maksym Tank

Dialog z Diogenesem

— Kogóż to, mędrcze, szukasz z tą latarnią?
— Muszę ci wyznać, że szukam człowieka.
— Cóż to, w Atenach tak trudno go spotkać?
— Trudniej, niż myślisz: straż go pilnuje
w więzieniu.
— A sam ty dokąd w drogę się wybierasz?
— Nie wiem, bo mnie skazano na wygnanie.
— I za cóż tyran mógł ciebie ukarać?
— A za to właśnie, że szukam człowieka.

W kwiaciarni

Potrzebny mi bukiet
Dla zaginionej gdzieś solenizantki,
Która skończyła dziś dwadzieścia lat.
A czemu zaginionej?
Wyjechała z naszego miasta
Trzasnąwszy drzwiami mego serca
I zabroniła nawet, bym ją odprowadził,
Telefonował albo pisał.

A może jej wcale nie było?
Wszystko jedno — proszę zrobić bukiet:
Wziąć najczerwieńszą różę,
Łodyżkę jej głosu,
Parę pożółkłych liści ciszy
I cień Jej — cień tuberozy...
Wszystko to, jeśli łaska,
Proszę przewiązać wstążką Mlecznej Drogi
I policzyć,
Ile to wszystko będzie kosztowało
Z dostawą na miejsce.

Rasul Gamzatow

* * *

Trzykroć spadałem i łamałem nogi:
Zrazu przyczyną była wstrętna chlapa,
Potem pagórki i jamy złej drogi,
A po raz trzeci narowista szkapa.

Najpierw był grad i szron, i deszcz zacinał,
Potem droga rozmokła i wezbrała rzeka,
Potem Bóg wie już jaka tam przyczyna,
Ale nie przyszłaś, a ja czekam, czekam...

Czekam daremnie więc przez całe życie
I oto teraz, gdy lat przyszła zima,
Droga jest dobra i jasność w błękicie,
I koń spokojny, a ciebie wciąż nie ma...

Przełożył **K. A. Jaworski**

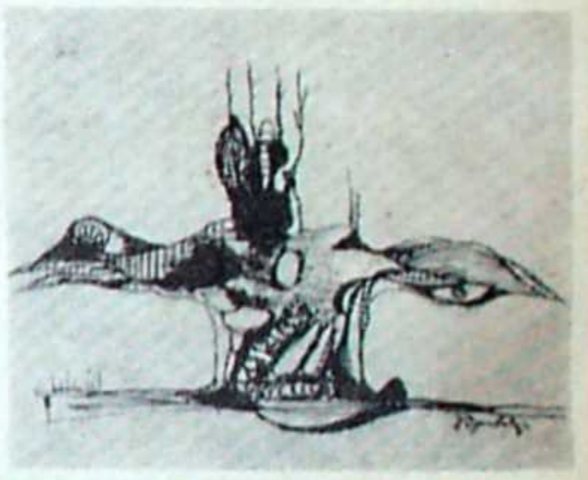

Rys. D. Opolski

KAZIMIERZ LISOWSKI (1919) — poeta rosyjski, autor wielu zbiorków (m. in. „Kraina moich pieśni", „Ranek Syberii", „Mój Sybir", „Lubię tropicieli śladów", „Cena wiersza" i in.) — piewca surowej północy. W n-rze 9 nowosybirskiego miesięcznika „Ognie Syberii" r. 1972 cykl „Wiersze o Polsce" wśród nich poemat „Ucieczka z piekła", dedykowany Pawłowi Dąbkowi.
WŁODZIMIERZ CYBIN (1909) — poeta rosyjski. Ważniejsze zbiorki: „Rodzicielka — step" (1960), „Puls" (1963), „Bezsenność wieku" (1963).
MAKSYM TANK (1912) — poeta białoruski, autor licznych zbiorków, część ich wyszła w Wilnie przed wojną, wiele wierszy tłumaczono na język polski. Ostatnie zbiorki: „Klucz żurawi" (1972) i „Niech się stanie światłość".
RASUL GAMZATOW (1919) — poeta dagestański, m. in. autor książki „Mój Dagestan" (polski przekład J. Jędrzejewicza ukazał się w r. 1971).

Kruszarka na wagę kruszcu

Dokończenie ze str. 1

Na tych terenach średni wiek właścicieli gospodarstw sięga 58 lat, podczas gdy przeciętna dla całego powiatu waha się w granicach 38—39 lat. Więc na wsi bełżyckiej mieszka i pracuje dużo ludzi, co jest szczególnie korzystne dla rozwoju hodowli zwierząt. Tradycyjnie już wartość biologiczna bełżyckiego bydła i trzody chlewnej jest bardzo wysoka, przykładowo krowy Michała Wojtaszki z Babina dają rocznie od 6 do 8 tysięcy litrów mleka, podczas gdy mleczność krajowej krowy statystycznej nie przekracza 2,4 tysiąca. Niezły stan budownictwa inwentarskiego również skłania do rozwoju produkcji zwierzęcej, a jej opłacalność wpływa na decyzje rolników, co jest momentem wartym szczególnej uwagi.

— Ludzie u nas są wyjątkowo pracowici, to prawda, ale pilnie patrzą, co też przyniesie im taka czy inna robota. Coraz bardziej wieś nastawia się na gospodarkę towarowa — mówi sekretarz rolny Komitetu Powiatowego, Stanisław Bieleń.

— Pyta pan o dochód? A czy pan myśli, że gdyby go nie było, to bym robił?! Najlepiej opłacają się świnie, 800 złotych biorę za knurka, trochę więcej za loszkę, a rocznie gdzieś sto sztuk sprzedaję — rozwija temat Tadeusz Bartoszcze, właściciel nowoczesnej, na wzór duński urządzonej chlewni, przodownik hodowli w Babinie, który w ubiegłym roku aż sześć razy musiał bielić ten przybytek, przygotowując się do podjęcia kolejnej wycieczki czy delegacji hodowców z kraju lub zagranicy.

Ponadto powiat charakteryzuje się wysokim poziomem kultury rolnej. Przede wszystkim mówią o tym przytoczone na wstępie fakty, ale równie instruktywną wiedzę można czerpać z takiej np. statystyki: oto 68 proc. rolników z gospodarstw o powierzchni większej od 2 ha zostało przeszkolonych na różnego rodzaju kursach zawodowych lub pobierało naukę w Szkołach Przysposobienia Rolniczego, co pod tym względem również plasuje powiat na pierwszym miejscu w województwie. Sporo też synów i córek gospodarzy bełżyckich kształci się w lubelskiej Akademii Rolniczej.

— Czy wróci na gospodarstwo? Oczywiście, bo gdzie mu będzie lepiej?! — dziwi się Michał Wojtaszko, którego syn jest na trzecim roku Wydziału Rolnego AR, pomagając zarazem ojcu w uprawie 12 ha ziemi i w hodowli 12 krów plus jeden byczek. — Kiedyś we wsiach same kaleki i dziady zostawali, teraz widać stabilizację, choć rok po zmianach nie można liczyć na cuda. Mnie jest teraz dużo lepiej, niż było wtedy, kiedy przychodzili z planem, dokuczali. Teraz my się przeobrażamy, zobaczymy, co z tego wyjdzie... A z tym kształceniem dzieci, to jasna sprawa, powinny zdobywać wiedzę, takie czasy, bez wiedzy daleko się nie zajedzie. Kto tam będzie chciał dziś w mieście zostać, kiedy u was kolejki, tłok na ulicach i jeden wielki smród...

Bełżyckie posiada niemal wszystkie warunki rozwoju produkcji zwierzęcej, warunki naturalne i ludzkie. Zdawałoby się, że w tej sytuacji pozostaje tylko „siać i zbierać". Niestety, za ładny to obraz, aby był w każdym szczególe prawdziwy. Jak wiadomo, krowy upodobały sobie spożywanie dużych ilości paszy tzw. objętościowej, którą dostarczają m. in. łąki. Tymczasem w strukturze użytków rolnych powiatu łąki i pastwiska zajmują zaledwie 3,1 proc. czyli najmniej, obok bychawskiego, w województwie. A bez wystarczającej ilości tej paszy nie można nawet marzyć o wzroście produkcji bydła, o zwiększeniu pogłowia zwierząt i mleczności krów. W tej ślepawej uliczce instancja partyjna i służba rolna energicznie szukają wyjścia, które tożsame jest z poszerzeniem arealu upraw roślin pastewnych w plonie głównym i w poplonach. Działania te przynoszą spodziewane rezultaty, tym bardziej że — jak się powiedziało — rolnicy powiatu doskonale odróżniają ekonomiczne plewy od ziarna i zdają sobie sprawę, że bez paszy nie pojedziesz daleko. Sądząc po zakupach nasion, powierzchnia upraw roślin pastewnych osiągnie zapewne 7800 ha, przekraczając planowaną wielkość o 400 ha. Zmiana struktury upraw wydobywa rezerwy wspierające rozwój produkcji zwierzęcej.

Rozsądek bełżycki ma jednak swoje granice, nie chce na przykład funkcjonować na terenie o nazwie komasacja. Rodzinno-losowe okoliczności rozrzuciły 5,5 ha Tadeusza Bartoszcza aż w sześciu odległych od siebie punktach Babina: do jednego z nich rolnik jedzie furką niemal cztery kilometry, czego jedyną dobrą stroną jest możliwość „pospania sobie w drodze". Do rzeczy zwykłych, normalnych, należą m i j a n k i gospodarzy, z których każdy posiada pole w sąsiedztwie zabudowań towarzysza wieloletnich peregrynacji, lecz żaden nie ma zamiaru dokonać wygodnej w efektach wymiany gruntów. Ciągle ponawiana akcja propagowania komasacji nie przynosi najmniejszych rezultatów, często słyszy się w odpowiedzi „może za rok, może za dwa, może..." W powiecie nie ma przy tym żadnych warunków do komasacji z urzędu, albowiem grunty PFZ obejmują raptem 120 ha i rozrzucone są po różnych, odległych od siebie, wsiach. Nie można powiedzieć, ludzie zdają sobie sprawę z ujemnych następstw rozdrobnienia, które uniemożliwia mechanizacje prac polowych i uszczupla c z a s produkcyjny, lecz na tej wiedzy kończy się zrozumienie sprawy.

— Wszyscy chcieliby mieć pola koło domu, lecz choćbyś był pan czarownikiem, wszystkim nie dogodzisz — opiniuje Tadeusz Bartoszcze, który koniem podróże robocze załatwia, jako że „traktor się nie opłaci", a poza tym brat ma „Ursusa".

— Działa tu tradycyjne przywiązanie rolnika do ziemi, do ojcowizny — stwierdza pracownik Wydziału Rolnictwa Prezydium PRN, Piotr Plewik, rzetelny przewodnik po dawnej Rzeczypospolitej Babińskiej, który ma do niej szczególnie żywy stosunek, ponieważ „aby coś tu przeprowadzić dobrego, żadnych sankcji nie potrzeba stosować, porządnie i czysto, a w nowym Domu Strażaka, z neonem na fasadzie, podczas zabaw czynne są dwa bufety: na parterze z alkoholem, na piętrze dla abstynentów".

— Jest to raczej przywiązanie do jeżdżenia — z ironicznym uśmieszkiem zamyka kwestię komasacji Michał Wojtaszko, którego ziemie w jednym kawałku, więc i traktor w szopie stoi.

Kolejnym warunkiem rozwoju produkcji zwierzęcej jest posiadanie odpowiednio licznych budynków inwentarskich. Wieś bełżycka tak ostro zabrała się do budowania, że w tej chwili powiat nie jest w stanie zapewnić kredytów tym wszystkim, którzy pragną wznosić domy mieszkalne. Nie ogranicza się tylko możliwości uzyskania pomocy kredytowej na budownictwo inwentarskie, co jednak nie rozwiązuje wszystkich problemów związanych z tego typu inwestycjami. Jeśli bowiem do stycznia tego roku w zasadzie nie brakowało w powiecie podstawowych materiałów budowlanych — cegły, cementu, eternitu — to obecnie odczuwa się ich niedostatek, nie mówiąc już o tradycyjnych trudnościach z uzyskaniem stali, blachy i częściowo elementów stolarki.

W powiecie nie ma rozwiniętej produkcji materiałów budowlanych, działa tu zaledwie jeden zespół wypału cegły; drugi rozleciał się trzy lata temu z powodów f a m i l i j n y c h. W tej sytuacji władze bełżyckie dobrały się do naturalnych rezerw budowlanych, które pod postacią kamienia wapiennego rozciągają się tu całkiem przyzwoitymi pokładami. Wystarczy pokruszyć kamień w bryłki o średnicy 4—6 cm i zalać to wszystko cementem. Uformowane w ten sposób bloki charakteryzują się dobrymi właściwościami izotermicznymi, a ich porowatość zapewnia „oddychanie" murów, o czym wiadomo po przeprowadzeniu dokładnych badań. Zastosowanie

Nieznany Camus

Wojciech Natanson

W SIERPNIU 1938 roku w momencie wyprzedzającym układy monachijskie, pod świeżym wrażeniem zwycięstwa gen. Franco w Hiszpanii, grono osób o przekonaniach lewicowych postanowiło wydawać w Algierze pismo pt. „Alger Républicain". Byli to przeważnie socjaliści lub młodzi radykałowie, zbliżeni do środowiska „młodej literatury" algierskiej. Chcieli się przeciwstawiać rosnącym wpływom prawicy. Na redaktora naczelnego upatrzyli sobie krytyka literackiego, Pascala Pia.

Pia zaczął kompletować zespół. Ktoś zaproponował współpracę 25-letniego młodego pisarza, który opublikował w lokalnym wydawnictwie pierwszą swą książkę „L'Envers et l'Endroit", był też autorem pracy naukowej z zakresu historii filozofii, a na razie zajmował się teatrem: Alberta Camusa. Przyszły twórca „Dżumy" znajdował się w niełatwej sytuacji materialnej, dla chleba próbował różnych, najskromniejszych zawodów. Dziennikarstwo odpowiadało jego projektom, zaspokajało umysłową ciekawość, potrzebę działania i zmysł sprawiedliwości. Miał je potem nazwać „jednym z najpiękniejszych zawodów".

Dwuletnia współpraca młodego Camusa z „Alger Républicain" (i jego kontynuacją „Soir Républicain") stanowiła początek jego pracy publicystycznej, którą miał uprawiać długo. Zwrócono już uwagę na to, że opis procesu Meursaulta w „Obcym" jest wykorzystaniem doświadczeń, które pisarz zdobył jako sprawozdawca sądowy „Alger Républicain". Dziennikarz Rambert w „Dżumie" to w pewnej mierze autoportret młodego Camusa. Niektóre artykuły wstępne pisane po wojnie w dzienniku „Combat" zawierają myśli o szczęściu i miłości, jakby wyjęte z kart przyszłych powieści, czy stanowiące dla nich materiał. Gdy więc mowa o twórczości Alberta Camusa, o jego znaczeniu i oddziaływaniu, niepodobna pominąć długoletniej i tak intensywnej współpracy z dziennikami.

Wbrew rozpowszechnionym opiniom rozpoczął współpracę z „Alger Républicain" nie od reporterki dziennikarskiej czy opisu wypadków, ale od stałych recenzji książkowych. Pierwszy artykuł tego cyklu ukazał się już pięć dni po rozpoczęciu działalności „Alger Républicain", 9 października 1938. Potem pisał tu Camus m. in. o powieściach Huxley'a, Remarque'a, Chamsona. 20 października 1938 ukazało się jego, charakterystyczne i ważne, omówienie powieści Startre'a „La Nausée".

Działalność tę kontynuował Camus niemal przez cały czas swej współpracy z „Alger Républicain". Ale także i inne zagadnienia interesowały żywy umysł młodego publicysty. Pismo ciężko walczące z konkurencją, rozporządzające skromnymi kapitałami, wymagało koleżeńskiej współpracy wszystkich swych pracowników. Camus starał się tu przenosić doświadczenia pracy teatralnej zespołu „Equipe", którego był duszą, drukował w dzienniku algierskim redagowane przez siebie manifesty owego teatru. Zajmowały go sprawy społeczne. 12 października 1938 pisze artykuł o spekulacji przeciw ustawom socjalnym. 26 października zajmuje się sytuacją pracowników i robotników miejskich.

Ważne były kampanie Camusa, prowadzone w obronie niesłusznie oskarżonych i skrzywdzonych. Należała tu „sprawa Hodent", której Camus poświęcił jedenaście artykułów, od 19 stycznia do 28 marca 1939 roku. Hodent, agent techniczny Urzędu Zbożowego, publicznie oskarżony przez jednego z bogatych właścicieli ziemskich o sfałszowanie i kradzież, był z góry prawie skazany. Sfabrykowano fałszywe zeznania, wywarto nacisk na świadków obrony. Camus artykułami swoimi rzekł w pień akt oskarżenia, wykazał jego absurdalność. Dzięki temu interweniowała Liga Obrony Praw Człowieka i Stowarzyszenie Byłych Studentów Instytutu Rolnego. Hodent został uniewinniony.

Podobne stanowisko zajął w procesie „podpalaczy" w Aurlbeau, gdzie oskarżono kilku arabskich robotników rolnych oraz działaczy związkowych. Proces ujawnił nie tylko niewinność oskarżonych, ale i metody tortur stosowane w śledztwie — a także głodowe zarobki robotników.

W tym czasie zajął się Camus losem najbiedniejszej części Algierii, Kabylii. Słynne reportaże, dotyczące panującej tam nędzy, ukazały się na łamach „Alger Républicain" w okresie od 5 do 15 czerwca 1939. Po wojnie w 1958 Camus przedrukował je w zbiorze swych esejów poświęconych problemowi algierskiemu pt. „Actuelles III Chroniques Algériennes 1934 — 1958". Reportaż był wstrząsający. Tym bardziej, że spokojny i oszczędny w słowach, całkowicie pozbawiony retoryki, oparty wyłącznie na faktach.

Krótki występ szkicował istotę problemu. Kabylia to kraj przeludniony. W jej górach znajdują się miejscowości o rekordowym zagęszczeniu, 247 mieszkańców na kilometr kwadratowy, podczas gdy przeciętna gęstość zaludnienia we Francji wynosiła 71 osób. Ponadto Kabylia produkowała za mało żywności, konsumowała więcej niż wytwarzała. W latach dwudziestych naszego stulecia ów deficyt był przeważnie pokrywany przez emigrację kabylskich sił roboczych. Emigranci przekazywali rodzinom znaczną część swych zarobków; jedna z gmin otrzymywała w ten sposób milion franków dziennie. Ale kryzys gospodarczy, który wybuchł z początkiem lat trzydziestych, przerwał ten dopływ. Władze kolonialne zaczęły wszelkimi sposobami utrudniać ruch ludności. Żądano uregulowania zaległych podatków i to nie tylko osobistych, ale i wszystkich osób, noszących to samo nazwisko. Zarobki kabylskich robotników rolnych spadły poniżej normy, wystarczającej na najskromniejsze utrzymanie. Widziano dzieci przychodzące do szkoły zimą — całkiem nago. A także: kobiety mdlejące z głodu, czy odbywające pielgrzymki po 30—40 kilometrów dziennie, aby zdobyć nieco żywności. Obowiązujący kodeks leśny przewidywał surowe kary za zużytkowanie odrobiny drewna na opał.

Autor reportażu dał nie tylko opis faktów, ale i praktyczny plan reform. Dotyczyło to pomocy dla głodujących. Próbowano zaradzić potrzebom przez akcję charytatywną: rozdawnictwo zboża i ziarna. Camus zwrócił uwagę, że ten system jest nieskuteczny, pokrywa bowiem minimalną część istniejących potrzeb lub służby propagandzie przedwyborczej. Natomiast należy zorganizować poważne roboty publiczne (np. w dziedzinie budowy dróg), podnieść płace, opracować system intensyfikacji kultur owocowych (np. fig i oliwek). Wielkie znaczenie przywiązywał Camus do reorganizacji szkolnictwa. Kabylowie rozumieli ważność tej sprawy i domagali się budowy szkół nie tylko dla chłopców, ale i dla dziewcząt. Camus wiązał też nadzieje ze zmianą systemu administracyjnego, szczególnie rozwojem autonomicznej gospodarki gminnej.

We wrześniu 1939, po wybuchu wojny, sytuacja pisma się zmienia. Zostaje wprowadzona cenzura; dwaj oficerowie kawalerii, usadowieni w redakcji, mają pilnować dziennika. Tego okresu dotyczą wspomnienia o młodości Camusa, ogłoszone w miesięczniku „Nouvelle Revue Française" (z 1 marca 1960 r.) przez znanego także i u nas autora „Montserratu", Emmanuela Robles'a".

W młodych swych latach algierskich pisze Robles o Camusie *... zarabiał on raczej marnie i często zmieniał posady. Pewnego dnia, gdy mu postawiono zarzut, że nie używa w swych sprawozdaniach stylu administracyjnego, podał się niecierpliwie do dymisji ze stanowiska małego urzędnika w prefekturze. Mieszkał (...) w pokoju pustym, umeblowanym jedynie w długi kufer, który mu służył zarówno za szafę na bieliznę jak i za łóżko.* Odczuwał żywą potrzebę przyjaźni, ale uważał, iż powinna być osłonięta odrobiną ironii. Gdy coś zarobił, chętnie pożyczał. Założył wtedy wraz z księgarzem Charlotem czasopismo „Rivages", poświęcone sprawom śródziemnomorskim, drukujące poetów hiszpańskich, algierskich i włoskich.

Gdy z ramienia cenzury wojennej dwaj kapitanowie kawalerii zjawili się w redakcji „Alger Républicain", nie ukrywali antypatii dla zespołu redakcyjnego i bronionych przez to pismo poglądów. Walkę z nimi prowadził Camus i jego koledzy — przede wszystkim metodą ironii. Na przykład: umieszczali w tekście „cytaty": „Gdy człowiek dosiada konia, wierzchowiec jest zawsze inteligentniejszy od człowieka (— André Maurois". Albo: „Ludzi można oceniać dzięki użytkowi, który czynią z przypadającej im władzy. Jest charakterystyczne, że duże podłe zawsze mają tendencję do nadużywania pozycji siły, powierzonej im przez przypadek czy głupotę — Kaligula". Podpis znamienny, gdyż właśnie w tym czasie Camus pisał pierwszą wersję swego dramatu! Inne jego felietony bywały podpisywane pseudonimem Mersault co podobno pochodziło od słów „la mer" (morze) i „soleil" (słońce).

Robles pisze, że słynne reportaże z Kabylii mogły dojść do skutku, ponieważ przyjaciele Camusa dostarczali mu środków lokomocji i noclegów. W 1939 roku stworzono popołudniówkę „Soir Républicain". Przedrukowywała ona niektóre artykuły głównych współpracowników dziennika porannego, m. in. Camusa. Niebawem „Alger Républicain" przestał się ukazywać, wychodził jedynie pismo popołudniowe, którego Camus został naczelnym redaktorem. Walka z cenzorami się zaostrzała. Camus oblegał swe artykuły w cytaty z Montaigne'a, Voltaire'a, Victora Hugo, Pascala, Huxley'a — konfiskowano je. By kontrolować zbyt skąpe i mało obiektywne wiadomości oficjalne, redaktorzy „Soir Républicain" porównywali je z faktami, podawanymi w komunikatach londyńskiej B.B.C.

28 grudnia 1939 roku 19 oddział Sztabu Głównego w Algierze potępił oficjalnym pismem redaktora Camusa i udzielił mu nagany za zamieszczenie artykułu, ocenzurowanego przez służbowego oficera i za wysłanie „niestosownego listu", zawierającego pogróżki — do dyrektora Urzędu Informacji. 10 stycznia 1940 pismo zostało zamknięte.

* * *

Narażony na niechęć władz kolonialnych, Camus (jak pisze jego biograf, Roger Quilliot) traci wszelkie możliwości zarobkowe w Algierii. W tej sytuacji musi wyjechać do metropolii, choć „Europa wilgotna i ciemna" budziła w nim niepokój. Dzięki pomocy i za pośrednictwem przyjaciela, Pascala Pia, zdobywa posadę redaktora technicznego i sekretarza w „Paris-Soir". Pisze w tym czasie „Obcego", notuje że „Paryż bywa pustynią dla serc". 10 V 1940 z częścią współpracowników „Paris-Soir" zostaje ewakuowany do Clermont-Ferrand. Jeden ze współpracowników pisma notuje, że po przejeździe trwającym cały dzień z auta, któremu już brakowało benzyny, wysiadł siny ze zdenerwowania Camus i pobiegł do tylnego schowka, skąd wydobył jakiś manuskrypt. Okazało się później, że był to „Obcy"; Camus myślał, że go zapomniał w Paryżu.

Świadectwa, dotyczące ówczesnego życia pisarza, nie są ze sobą zgodne. Prawdopodobnie wraz z Pascalem Pia znalazł się w Bordeaux, skąd — po zawieszeniu broni — nie mogąc się przedostać do Anglii, wrócili do Clermont — Ferrand, a potem do Londynu. Tu przyjechała narzeczona Camusa (było to po rozwodzie z pierwszą jego żoną), Francine Faure. 3 grudnia 1940 zawarli ślub. Świadkami byli zecer Lemoine, linotypiści Lemaitre, Cornier i Lionet, oraz Pia.

Późną jesienią 1940 roku redakcja „Paris-Soir" wraca do Paryża i angażuje się w kolaborację. Camus podaje się do dymisji, przenosi do Algierii, przelotnie współpracuje z pismem „Tunisie Française", gdzie zamieszcza apel do oporu przeciw hitlerowskiemu okupantowi. Do jednego z przyjaciół mówi już o przyszłym dniu wyzwolenia. W takim stanie ducha pisze „Mit Syzyfa". W liście do Robles'a zaznacza: „Dni trwają długo i bardzo mi ciążą".

Po pobycie we Francji środkowej, gdzie leczy swą gruźlicę, Camus 14 listopada 1941 zamieszkuje w Paryżu. Stosunkowo mało wiadomości posiadają biografowie na temat jego udziału w konspiracji. Ze zrozumiałych względów nie mógł o tych sprawach wspominać w pisanych podczas wojny „Notatkach". Po wyzwoleniu niechęć do chwalenia się oraz kompleks wobec konspiratorów podległych powstrzymywały go od zwierzeń. Wspomniał jednak przyjaciela i towarzysza walki, młodego poetę katolickiego Leynand, aresztowanego przez gestapo w Lyonie. Camus stwierdzał, że w normalnej wojnie giną zarówno słabi moralnie, jak i bohaterowie. W walce konspiracyjnej na największe niebezpieczeństwo są zawsze narażeni najbardziej ofiarni i bezinteresowni. Oni przede wszystkim ofiarowują swe życie. Wobec nich ci, ca przeżyli doznają kompleksu niższości.

Według świadectwa Jacqueline Bernard, Camus był związany z konspiracyjną grupą „Libération", do której m. in. należeli J. Casson, Martion Chauffier, Aragon, Claude Aveline i Paulhan.

W listopadzie 1941 dwa konspiracyjne ośrodki oporu, „Les Petites Ailes" i „Liberté", łączą się w ruch nazywany „Combat", który w grudniu zaczyna wydawać podziemne pismo pod tym tytułem. Claude Bourdet oraz Pascal Pia stają się redaktorami owego konspiracyjnego organu o nakładzie 50 000 egzemplarzy. Jesienią 1943 Pia (pisujący pod pseudonimem Renoira) wprowadza Camusa na zebranie redakcyjne, odbywające się w izdebce dozorcy domu przy rue Lisbonne. Pisarz oświadcza, że chce pełnić „wszelkie zadania, jakie mu zostaną powierzone", dodając, iż posiada doświadczenia dziennikarskie.

Drukowanie pisma zostało powierzone André Bollierowi, używającemu pseudonimu „Carton", później „Vetin", zabitemu przez Niemców 17 czerwca 1944 r. Ponieważ Pascalowi Pia powierzono niebawem inne zadania konspiratorskie, Camus objął naczelną redakcję. 15 listopada miał już „Combat" 300 000 nakładu. Zadaniem Camusa było: rekrutowanie redaktorów i współpracowników (m. in. pozyskał Sartre'a), organizowanie dopływu informacji, rozdzielanie funkcji redakcyjnych, utrzymywanie kontaktu ze służbą drukarską i kolportażową, obserwowanie lokalu „Pariser Zeitung", który „Combat" miał zająć po wyzwoleniu. Tuż po desancie alianckim w mieszkaniu Camusa przygotowano makietę numeru, który miał się ukazać po wyzwoleniu, z podtytułem ustalonym przez Camusa „Od Ruchu Oporu do Rewolucji". Po aresztowaniu sekretarki redakcji, Jacqueline Bernard, musiał pisarz opuścić swe mieszkanie. Pomagali wtedy w pracy redakcyjnej i konspiracyjnej dozorca domu, goniec z Komedii Francuskiej, jakaś panienka tak szczupła i drobna, że dano jej przydomek: „15 gramów".

Od 19 sierpnia 1944, od wyzwolenia Paryża, pismo ukazywało się jako organ jawny. Redaktorami zostali ponownie: Camus i Pia. Niemal wszystkie artykuły wstępne pisał od sierpnia do 22 grudnia autor „Kaliguli", i one to właśnie — choć nie były podpisywane — zapewniły mu pozycję w powojennym paryskim życiu literackim.

W artykule z listopada 1946 przypomniał, jak to hitlerowcy zalepiali wapnem usta polskich skazańców podczas publicznych egzekucji.

(Fragment książki, przygotowanej dla Państwowego Instytutu Wydawniczego).

---

tego materiału obniżyłoby koszty budownictwa inwentarskiego i gospodarskiego o 30—35 procent! Sama radość ekonomiczna: prosta i tania technologia, surowiec w zasięgu dłoni, zbyt zapewniony...

Na początek, aby zebrać więcej doświadczeń, wzniesiono tym systemem remizę, budynek gospodarczy i stodołę: nowy materiał spełnił oczekiwania tak dalece, że zdecydowano się na postawienie kilku dalszych obiektów — w ramach budownictwa przykładowego — których „zachowanie" miałoby ostatecznie wyjaśnić, czy gra warta jest świeczki. Niejeden powiat na Lubelszczyźnie „sparzył się" fatalnie, zbyt szybko, bez pełnego rozpoznania właściwości, wprowadzając „nowe, tanie i trwałe materiały budowlane za pół ceny", które po krótkim czasie zamieniły się w papkę, albo proszek. W Bełżycach chciano poeksperymentować, lecz skończyło się na chęciach. Cała inicjatywa, uruchomiona na drodze poszukiwania rezerw w gospodarce, zastygła w bezruchu — a to z powodu ogromnie skomplikowanej maszyny, jaką jest trywialnie prosta kruszarka do kamienia, inaczej mówiąc brak tego „akceleratora".

W powiecie takiej machiny nie ma, więc władze postukały tu i ówdzie, także na szczeblu PWRN, otrzymując obietnice przerobienia 500—1000 m sześć. kamienia przez Lubelskie Przedsiębiorstwo Kruszyw. Podniesieni na duchu takim obrotem sprawy, działacze partyjni i służby rolno-budowlane Bełżyc spopularyzowały pomysł wśród rolników, m. in. na zebraniach partyjnych i ogólnowiejskich, doprowadzając nawet do powołania specjalnego zespołu budowy wiadomym systemem, złożonego z kilkunastu rolników. Kruszenie miało sfinalizować się w marcu-kwietniu, ale przy końcu tego ostatniego miesiąca LPK wycofało się z imprezy. Odwołanie się o pomoc do drogowców również nie dało żadnych rezultatów, choć bełżyczanie zobowiązali się dowieźć nieszczęsny kamień i 50 i 100 km, dzielące miejsce jego wydobywania od unikalnej machiny... W tej chwili dwóch obywateli bełżyckich, zaopatrzonych w delegacyjne teczki, przeczesuje województwo w poszukiwaniu jakiejś przechodzonej kruszarki, którą można by kupić, następnie wyremontować i puścić w ruch w ramach Spółdzielni Usługowo-Wytwórczej Kółek Rolniczych, specjalizującej się w budownictwie wiejskim. Tak to i poszukiwanie rezerw odsyła do rezerwy rozsądne pomysły oraz zaufanie rolników do obietnic władzy powiatowej, która z kolei zaczyna z rezerwą traktować obietnice wyższego szczebla. A może gdzieś w kraju dałoby się odkryć zbyteczną kruszarkę?

W całej tej historii znalazło się też skromne miejsce dla nowopowstałego w Bełżycach zespołu hodowlanego — to także forma wykorzystania rezerw produkcji zwierzęcej — który zainteresował się nowym materiałem w momencie podjęcia decyzji o wzniesieniu wspólnej chlewni na 500—700 stanowisk. Nie doczekawszy się budowlanej rewelacji sezonu, odwołał się do metod znanych z tradycji.

Jak powiedziano, wieś bełżycka ostro zabrała się do budownictwa inwentarskiego. Ale to stosunkowo wysokie tempo nie jest proporcjonalne do planowanego wzrostu hodowli. Dlatego też, chcąc utrzymać założoną dynamikę produkcji zwierzęcej, lansuje się w powiecie tzw. letni tucz bezinwestycyjny i zbliżony doń opas młodego bydła w warunkach szałasowych. Proste ogrodzenie, jakiś daszek — minimalne, nieistotne nakłady, a po dwóch — trzech latach hodowli w takich warunkach uzyskuje się środki na wzniesienie budynku inwentarskiego z prawdziwego zdarzenia. 46 gospodarstw prowadzi hodowlę w ten właśnie sposób.

Ponadto zachęca się rolników do modernizacji obór — także bez nakładów inwestycyjnych, poprzez tzw. wyplycanie, które zwiększa powierzchnię użytkową tych pomieszczeń średnio o 30 procent, umożliwiając wprowadzenie dodatkowych sztuk bydła.

Nie wszystkie problemy produkcji zwierzęcej można rozwiązać tą drogą, choć niewątpliwie kryje ona jeszcze sporo niewykorzystanych odgałęzień. Bez postulowanej od lat rozbudowy dwóch zakładów nie uda się zapewne zwiększyć w powiecie w sposób ekonomicznie znaczący — produkcji mleka. Michał Wojtaszko przekazuje obecnie, kiedy ma 5 mlecznych krów, 70—80 litrów mleka dziennie, planując zwiększenie liczby producentek do dziewięciu. Tymczasem zakłady mleczarskie w Bełżycach i Niedrzwicy — stare i wysłużone — przerabiają zaledwie 70 proc. produktu, który spływa z powiatu, resztę, czyli 8 tysięcy litrów rocznie transportuje się do innych miast. W tych warunkach spółdzielczość mleczarska faktycznie hamuje skup mleka, nie interesując się np. zawieraniem z rolnikami wieloletnich umów kontraktacyjnych, bardzo dogodnych dla producentów. W takim układzie (doraźne usprawnienia nie na wiele się tu zdają) powiat bełżycki powinien być możliwie szybko wzmocniony albo budową nowego, albo zasadniczą rozbudową istniejących zakładów mleczarskich.

Tadeusz Graba

Fot. L. Demidowski

Dokończenie ze str. 1

pryski tego talentu. Gdzieś się podziały setki figurek, które niestrudzony artysta całymi laty wyrzucał wprost na drogę, by chociaż w ten sposób zdobyć anonimowego odbiorcę. Ile z nich zdobi dziś mieszkania, ile natomiast bezpowrotnie zaginęło wgniecionych w ziemię końskimi kopytami, wciśniętych w błoto kołami samochodów?

Ale Edward Bychawski i tak jest wdzięczny losowi. Mógł przejść przez życie niezauważony, nieznany, w masce błazna, pajaca, którą tak skwapliwie nakładali mu mieszkańcy wsi. Zawsze budził lekceważenie, nawet wówczas, gdy reperował ich sprzęt, przywracał maszynom dawną moc. I tak można było go okpić, wyłgać się byle grosikiem. Zresztą niechby się postawił, on, trzybłęda bez ziemi, gospodarzom z dziada pradziada!

DISNEYLAND W BOROWIE

Nawet i teraz co prawda zazdroszczą, ale i tak wiedzą swoje: stał się sławny — to prawda — forsa doń zewsząd płynie — też racja, ale jak długo? Tylko gospodarz może być naprawdę wolny, uniezależniony od przejściowej koniunktury, chwilowej mody: jeść trzeba zawsze.

A on jest wrażliwy, bezbronny wobec ludzkiej zawiści i niechęci. Stąd też wyznaje, że czuje się tu jak schwytany w sieci dziki ptak. Tym częściej wraca myślami do swej rodzinnej wsi — Małochwiel. Tam było jego miejsce. Oddalona jest od Borowa zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów, ale Bychawski wierzy, że tylko tam cieszyłby się ogólnym szacunkiem, miłością. Przekonania tego nie niweczą gorzkie wspomnienia. Właśnie w Małochwiel opuścił go ojciec, jego i całą rodzinę — matkę z czworgiem dzieci. Wyjechał do Ameryki i przepadł bez wieści.

Edek miał wówczas 8 lat i był najstarszy z rodzeństwa. Jako pierwszy musiał też wkroczyć w świat ludzi dorosłych, cierpko doświadczając tak wczesnej samodzielności. Robił, co się dało: pasł krowy, doglądał koni. Jeszcze do dziś pamięta, w jaki sposób „zachęcano" go do maksymalnego wysiłku. Po prostu gospodarz zamykał go w stodole i trzymał tak długo, aż zmełł na żarnach cały wór zboża. Tutaj też najczęściej sypiał, choć wolał w oborze — mógł chociaż podbierać bydłu parowane ziemniaki.

Później trafił do stolarza w Krasnymstawie i może by jakoś wytrzymał. Mistrz jednak kazał mu sypiać w świeżo wykonanych trumnach, co dla młodego chłopca, obdarzonego na dodatek niepospolitą wyobraźnią, było nie do zniesienia.

Na koniec znalazł się u kowala i tam już pozostał. Chyba najpiękniej swą dziecięcą tułaczkę opisał później w wierszu „Sierota".

Ja muszę zawsze gdzieś wędrować,
Pod inną gwiazdą wciąż nocować
Innej planecie się ukłonić
Za innym szczęściem zawsze gonić.

Do Borowa trafił jeszcze przed wojną i tutaj też postawił maleńką kuźnię, która całej jego rodzinie zastępowała również dom. Ale przetrwał wszystko. I wreszcie spełniły się wieloletnie marzenia. Dorobił się własnego domku i nawet kawałka ziemi. Ale nie to jest najważniejsze. Jest sobą, bo może bez reszty zająć się tym, co zawsze było mu najbliższe, najdroższe — tworzyć w żelazie, pisać wiersze, komponować piosenki. Na chwilę przerywa pracę, by zaśpiewać jedną z najnowszych, a po chwili deklamuje wiersz sławiący uroki pobliskiego Gorzkowa. Potem znów wraca do młota. Nigdy nie stworzył dwóch identycznych figurek, takich samych postaci. Może widziałem w krasnostawskim muzeum ów gigantyczny, o średnicy co najmniej metra, świecznik? Wykuł go bez żadnego wzoru, jakiegokolwiek szkicu. A czy zwróciłem uwagę na figurkę pół-kobiety pół-smoka? — Skąd pomysły, wzory? — Mało to wokół wszelakiego szkaradztwa?

Sam spotkał diabła, a jakże! Zimą, w śnieżną zawieję. Przemknęło toto jak burza, tuż przed jego domkiem. Tylko odbite w śniegu ślady świadczyły, że to nie zwidy, majaki.

A i anioła też widział, dlaczego by nie? Taka śliczniutka kobieta w białej szacie, z haftowanymi, szerokimi rękawami i naręczem róż. Stała tutaj, przed łóżkiem, jego jakby przykuło, sparaliżowało. I gdy tak leżał w absolutnym milczeniu, nabożnie wpatrując się w tę niebiańską zjawę, ona leciuteńko się uśmiechnęła i kilka kwiatów opuściła na ziemię. Chciał je podnieść, ale nim się spostrzegł nie było ani anioła, ani róż.

Tak, różne to dziwy się zdarzają i oby tylko starczyło czasu, sił, by wszystko pokazać...

Przerwa, która po tych słowach nastąpiła trwa dobrych kilkadziesiąt sekund. A że pora już późna, podnoszę się więc, by pożegnać niezwykłego gospodarza. Jeszcze zdawkowe tylko pytanie o dalsze zamierzenia, plany. I nagle spostrzegam, że artysta patrzy na mnie w skupieniu, jakby z pewnym napięciem. W chwilę później poznaję największą tajemnicę jego życia, zaczynam rozumieć sens jego dalszego istnienia.

Pomysł zrodził się dobrych kilkadziesiąt lat temu. Już jako mały chłopak chciał stworzyć jakąś niezwykłą maszynę, którą zadziwiłby wszystkich. Skończyło się na ruchomym wiatraku, a raczej wózku, który przy silnym wietrze osiągnął, jak na ówczesne wyobrażenie, zawrotną szybkość. Później, zajęty walką o pajdę chleba, łyżkę strawy, zmuszony był zaprzestać dalszych prób. Dopiero przed kilkoma laty znów do nich powrócił. Ma szczęście, wielkie szczęście. Dokonał odkrycia równego kopernikańskiemu. Wreszcie wie, jak zbudować perpetuum mobile, maszynę, która nie pobierając z zewnątrz energii, będzie wiecznie się poruszała. Sercem całego urządzenia jest tryb, który stale wiruje i stale ciśnie. Teraz, po setkach prób, gdy chwila triumfu jest tuż, tuż, może o tym wreszcie powiedzieć. Jemu przypadła w udziale realizacja jednego z największych marzeń ludzkości. Ale nie tylko on będzie triumfował. Wielka to chwila dla całego narodu, wszystkich Polaków.

Dochodzi północ. Opuszczając kuźnię czuję się jak uczeń czarnoksiężnika, który ma już za sobą pierwszy etap wtajemniczenia. Znów mijam wielgachną turbinę, która z bliska jawi się teraz na kształ jakiegoś dinozaura. Jeszcze ostatnie spojrzenie w stronę kuźni, gdzie wciąż tli się palenisko, skąd nadal dobiegają odgłosy gorączkowej pracy.

Pobyt w Disneylandzie dobiegł końca.

Kazimierz Dymel

Arkadiusz Bożek

* * * *

nie wierz poezjo takim jak ja
co syzyfowy toczą kamień
z poparzoną twarzą
rozorani w bruzdy
oćwiczeni zrudziali od łez
aktorzy śmiechu
bojownicy o zachwyt dziwek
tacy
gotowi zdjąć sklepienie z barków Atlasa
roztrwonić siebie na drukowane kartki
może wtedy zadośćuczynimy pragnieniu

stąd w nas ta poza
i stąd konieczność
w muzyce studzić głowy
a w pieśni barda biło serce
pięć strun pojedyńczych razem

* * *

a w moim lustrze jest inaczej
bo w moim lustrze nikt nie płacze
pozamieniałem wszystkie cienie
na kury kaczki i motyle
a dla mojej babki wymalowałem
piękne słońce
kto mnie teraz oskarży
o egocentryzm

Andrzej Kowalczyk

Chciałbym usta twoje

Krystynie P.

nocą rzęs mówiłaś
posłuchaj
jak wiatr szumi
a ustami milczałaś
słońcem oczu mówiłaś
popatrz
jak noc usypia
a ustami milczałaś
. . . . . .
chciałbym
usta twoje
nocą
i słońcem
napełnić...

PIĄTY WARIANT?

Dokończenie ze str. 1

Jeszcze rok przed VI Zjazdem Partii, w styczniu 1971 roku, z inicjatywy Biura Politycznego KC PZPR powołany został Komitet Ekspertów dla opracowania Raportu o Stanie Oświaty w PRL. Po przeszło dwuletniej pracy Komitetu Ekspertów znamy już zasadnicze ustalenia i postulaty Raportu, aczkolwiek nie do wszystkich placówek oświatowych informacje na ten temat dotarły bez zakłóceń. W każdym razie istnieje obecnie projekt nowego modelu systemu oświatowego zainicjowany przez Partię i postulowany na VI Zjeździe. Zasadniczym motywem owego projektu jest postulat powszechności średniego nauczania.

Obradujące w lutym tego roku Biuro Polityczne i Prezydium Rządu nie podjęły decyzji merytorycznych w związku z propozycjami Raportu, wychodząc z założenia, iż decyzje takie powinny zostać poprzedzone m. in. jak najszerszą dyskusją obywatelską nad tezami Komitetu Ekspertów. Dopiero we wrześniu będą podjęte kierunkowe decyzje o rozwoju kształcenia w Polsce, zaś w październiku zostanie przygotowana odpowiednia uchwała sejmowa. Znowu zatem stoimy przed potrzebą dyskusji i znowu jest okazja pisania o krzepiącym obyczaju politycznym w obrębie relacji: władza — obywatel. Wyłaniałby się tutaj znakomity przykład łączenia inicjatywy Partii z opiniami ekspertów i głosem opinii publicznej, demokratyczny wzorzec wielokierunkowego przebiegu informacji twórczej w socjalistycznym państwie, sprzyjający optymalnym decyzjom politycznym w zasadniczych dla przyszłości kraju dziedzinach. I taka praktyka, otwierająca perspektywę ku nowoczesności, byłaby tu czymś ogólnie ważnym.

Jak wynikałoby z ustaleń Raportu o Stanie Oświaty, zarządzanie dotychczasowym systemem szkolnictwa spoczywa w rękach aż 24 resortów i urzędów centralnych, funkcjonowanie zaś na przykład szkolnictwa wyższego było dotąd regulowane przez sześć kolejnych ustaw. Wiadomo również, że do niedawna na poziomie szkoły średniej, a szczególnie podstawowej, istniało kilka zwalczających się systemów nauczania eksperymentalnego.

Dyskusja nad propozycjami Raportu w poszczególnych placówkach szkolnych kraju trwa, tymczasem Ministerstwo Oświaty i Wychowania wydało już instrukcję pt. „Organizacja kształcenia i wychowania socjalistycznego w roku szkolnym 1973/74". I nic by nie było w tym złego, że Ministerstwo ową instrukcję wydało, zresztą uprzednio też przedyskutowaną w szerokim gronie, gdyby nie jeden znamienny fakt. Oto postuluje się w niej, a raczej po prostu wprowadza, podział roku szkolnego na dwa semestry lub okresy, wychodząc z założenia, iż system ten zdał egzamin na wyższych uczelniach. Ostatnio natomiast dowiadujemy się, że wyższe uczelnie myślą o przejściu na system trójsemestralny, ponieważ dotychczasowy podział roku akademickiego... nie zdaje egzaminu.

Mówię o tym wszystkim, gdyż dziennikarze, nie bez pewnej racji, poczęli swego czasu pisać o „huśtawce pedagogicznej", a wtedy ktoś w resortach zaczął się obrażać, jakoby takie pisanie przekreślało dotychczasowe niewątpliwe osiągnięcia oświaty w Polsce. Nikt nie zamierza przekreślać faktów pozytywnych, których przekreślić nie można. Tak samo jak nie można zbudować nowego systemu oświaty, nie wykorzystując dotychczasowych doświadczeń i sukcesów w tej dziedzinie. Idzie jednak o to, że brak nam było dotychczas całościowej oceny systemu oświatowego w Polsce, kompleksowej prognozy rozwoju oświaty, ujętej w kontekście powiązań szkoły ze środowiskiem społecznym: rodziny, zakładu pracy, innych placówek oświatowych i środków kształcenia.

Taką całościową ocenę i kompleksową prognozę daje właśnie Raport o Stanie Oświaty. I doprawdy trudno w tym przeczyć jego rolę, jako że problematyka Raportu traktuje właściwie o dalekodystansowych, rzekłbym — strategicznych motywach w rozwoju kraju. System oświatowy bowiem jest nie tyle rezultatem rozwoju społeczno-gospodarczego, ile przede wszystkim instrumentem tego rozwoju.

W ostatecznej wersji Raport będzie liczył około 500 stron i przyniesie problemów moc, tak samo jak moc problemów przynosi jego, znana szerzej, skrócona wersja. Nie jest zadaniem, a tym bardziej nie leży w możliwościach pojedyńczego dziennikarza ustosunkowanie się do wszystkich tych problemów. Dyskusję nad tą problematyką, w nawiązaniu do uchwały VI Zjazdu Partii i VII Plenum KC PZPR, powinni prowadzić głównie pracownicy wszystkich placówek pedagogicznych, organizacje społeczne, zainteresowane zakłady pracy. W szkołach ta dyskusja miała się zasadniczo zakończyć w kwietniu, i dobrze by było, gdyby nauczyciele zechcieli się podzielić swymi uwagami także na łamach prasy, a nie tylko na posiedzeniach plenarnych rad pedagogicznych.

Jest wszelako taka jedna kwestia, o której trzeba rozmawiać jak najszczerzej, nie tylko w gronie praktyków-pedagogów. Kwestia o fundamentalnym znaczeniu, mianowicie — upowszechnienie szkoły średniej, traktowane nie jak przymus nauczania na poziomie średnim, lecz jako możliwy do realizacji perspektywiczny postulat.

Raport przedstawia cztery warianty upowszechnienia szkoły średniej, a właściwie dwa zasadnicze warianty, każdy liczący po dwie odmiany. W opinii autorów Raportu nie są to jednak możliwości równorzędne, już choćby ze względu na koszta i nakłady, jakich wymagają, oraz ze względu na realne perspektywy społeczne do roku 2000. Tak więc autorzy Raportu opowiadają się zdecydowanie tylko za jedną możliwością i argumentują w ten sposób, że siłą rzeczy dyskusja w szkołach musiała pójść, i — o ile się orientuję — poszła, tylko w tym jednym kierunku, faworyzowanym przez Raport. Nie jestem przekonany, że to sytuacja właściwa, i jeśli rzeczywiście tylko jedna z czterech możliwości forsowanych przez Raport wydaje się optymalna, to czy nie można by jej przeciwstawić jakiegoś innego wyjścia, w prognozach i propozycjach ekspertów nie wyodrębnionego, co nie znaczy, że nie dającego się z Raportu wyprowadzić? I chyba dobrze by było, gdyby dyskusja społeczna poszła i w tym kierunku, w każdym razie do takiej dyskusji skłonny byłbym zachęcać, bo oto optymalnemu wariantowi ekspertów można by było postawić parę kłopotliwych pytań.

Oparta na powszechnym wychowaniu przedszkolnym 11-letnia powszechna szkoła ogólnokształcąca, wpro-

Między Scyllą i Charybdą

Dokończenie ze str. 1

typu i jaką drogą), sposób recepcji, poziom przygotowania do korzystania z niej itd. itp.

Nie zamierzam żeglować po szerokim morzu, ośmielę się tylko przyłączyć do poszukiwań możliwie najpewniejszego nurtu w dziedzinie funkcjonowania, a zwłaszcza upowszechniania kultury (sztuki), zatrzymując się w cieśninie pewnych alternatyw i ekstremów, między którymi nieraz się miotamy.

Zaczęło się właściwie przed kilkunastu laty, kiedy sprawy upowszechnienia, jako konsekwencja założeń ustrojowych, stały się jedną z najważniejszych trosk polityki kulturalnej. Likwidacja analfabetyzmu, stworzenie sieci różnych placówek oświatowych i kulturalnych, rozwój radiofonii, organizowanie takich akcji, jak np. wieczory autorskie, dały szerokie możliwości, niezależnie od błędów, korzystania z dóbr kultury. Ale artysta znalazł się w gruncie rzeczy w sytuacji szantażowej. Jeśli nie tworzył „zrozumiale" (jakżeż to pojęcie było i bywa nadużywane, co wymagałoby osobnej analizy), spotykał się z surowymi ocenami zgniłości, lekceważenia odbiorcy. Z kolei jeśli tworzył popularnie, wtedy rezygnował z twórczych poszukiwań i stawał przed zarzutem tradycjonalisty lub spadał do rangi artysty drugorzędnego.

Skąd się to wzięło? Pomijam sprawę, że przemiany ekonomiczne i społeczne nie pociągają za sobą równolegle i automatycznie przemian kulturowych; tylko Majakowski, Meyerhold i kilku innych szukali rewolucyjnych środków adekwatnych do rewolucji ustrojowej. Ważny tu jest inny aspekt. Nieporozumienie polegało na sporze o kompetencje. Administracja, a częściowo także działacze kulturalni i prasa, przerzucali ciężar odpowiedzialności za realizację idei upowszechniania z siebie na twórcę. Nowa kategoria działaczy kulturalnych nie zawsze miała odpowiednie kwalifikacje i zbyt pryncypialnych rozwiązań szukała.

Rozbijamy się tu właściwie o trzy zagadnienia: czy sztuka jest (może być, musi być) elitarna, czy nie; czy pełni funkcję rozrywkową, czy ma głębszą wartość (w tych ramach znów kontrowersje: funkcja poznawcza? emocjonalna? ekspresyjna?); czy metoda upowszechniania ma polegać na obniżaniu poziomu sztuki (lub repertuarów w instytucjach kulturalnych), czy na podnoszeniu poziomu odbiorcy?

Jeśli nawet powstającemu dziełu nie towarzyszy myśl o odbiorcy, adresacie, to jednak zawsze odbiorca jest następnym etapem życia dzieła i elitaryzm jako wyraz wywyższenia się nad „tłum", jako zasada i cel twórczy musi być oceniony negatywnie — choćby ze względu na inną formę tendencyjności, którą tzw. esteci przecież odrzucają. Natomiast elitaryzm jako skutek wykraczania poza dotychczasowe wartości i jako dużo wyższe znawstwo u części odbiorców, którzy specjalizują się w danej dziedzinie kultury, jest warunkiem postępu w kulturze. Źle by świadczyło o specjaliście-chemiku, gdyby nie wyrastał poziomem wiedzy wysoko nad przeciętnego użytkownika produktów chemicznych, a zwłaszcza, gdyby nie szukał nowych rozwiązań. W dziedzinie kultury nie zawsze rozumiemy tę etapowość; może dlatego, że tu relacje twórca-odbiorca są nieco inne.

Przyjąwszy nawet zasadę dostosowywania sztuki do adresata, trzeba by się zapytać, czemu ma to być adresat przeciętny, dla którego życie kulturalne jest marginesem, rozrywką lub formą „oglądy", dlaczego nie mają się liczyć potrzeby tych kilku czy kilkudziesięciu tysięcy „estetów", w których życiu sztuka zajmuje ważne miejsce? Na płaszczyźnie realizacji polityki kulturalnej trzeba by się spytać, dlaczego szary konsument ma być na zawsze zamknięty w getcie kultury drugorzędnej, dlaczego nie dać mu szansy wysłuchania Pendereckiego? Ponadto, czy to na pewno on stawia takie żądania? A może jest to jakaś forma pogardy dla przeciętnego odbiorcy? Pozbycia się kłopotu z rolą pośrednika?

Postulat „dostosowywania", kompromisowości nie tylko nie podnosi standardu życia kulturalnego, lecz wręcz je hamuje. „W realizacji założeń artystycznych nie iść na ustępstwa, bo się niszczy gusty ludzi jeszcze nie wyrobione". Jestem przekonany, że ten postulat, wyrażony tu słowami R. Satanowskiego w „Świecie", jest nie tylko wyrazem poważniejszego stosunku do przeciętnego człowieka, ale też skuteczniejszą na dłuższą metę metodą upowszechniania kultury.

Czyż musimy szukać zawsze skrajnych rozwiązań? Przecież kultura może rozwijać się wielonurtowo i niekoniecznie konfliktowo. Tak jest np. z problemem sztuki rozrywkowej. Rozrywka jest również wartością kulturalną. Błąd istotny polega chyba na tym, że nie uwzględnia się jej odrębności, tylko zestawia się ją na zasadzie oceny z tzw. sztuką poważną — jako coś gorszego. A ja wolę dobry western od niedopracowanych „Popiołów", dobrą i dobrze wykonaną piosenkę od źle zagranego Bacha. Nie widzę też uzasadnienia, by rozczytywanie się np. w Conradzie musiało wykluczać przeżywanie perypetii Sherlocka Holmesa. Ta koegzystencja nie jest równoznaczna z homogenizacją jako metodą popularyzacji przez przemycanie.

Jeszcze jeden aspekt tego zagadnienia trzeba by wyjaśnić. J. Pomorski w „Życiu Literackim" rozprawiał się z wyobrażeniem elity jako książąt ducha zatopionych w lekturze klasyków, których rozrywką są filmy Antonioniego i Kurosawy. Autor uważa, że książęta ducha nie istnieją, że są to normalni ludzie, którzy również korzystają z dóbr masowej rozrywki. Byłoby to słuszne, gdyby nie pewna komasacja: pochłonięty wizją muzyczną, wybitny kompozytor obraca się w sferze muzycznej niedościgłej nawet dla zwykłego muzyka, ale jako konsument może gustować w kryminałkach i to albo dlatego, że traktuje je jako formę odpoczynku, albo dlatego, że jego literacka kultura nie sięga wyżej. Można go więc z równym powodzeniem zaliczyć i do elity i do „przeciętniaków". Bywa też odwrotnie, że człowiek o „elitarnej" wrażliwości percepcyjnej i kulturze myślowej jest w sferze twórczej banalny lub nieporadny. Rozmaite trafiają się kombinacje i to nie tylko w zakresie podanych tu przykładów.

Nie odważam się wyjaśniać przyczyn tego stanu, ale chciałbym zwrócić uwagę na zagadnienie funkcji spełnianej przez sztukę (pomijając różnorodność reakcji psychicznych przy kontakcie z nią). To samo dzieło może pełnić poza artystyczną lub estetyczną (czy równocześnie?) także funkcje rozrywkową, poznawczą, patriotyczną, polityczną... Czy wynika to z obiektywnej wielospektywności sztuki, czy też z subiektywistycznej dowolności, z korelatywnego działania czynnika estetycznego z innymi, czy z nakładania nań zadań nie leżących w jego „kompetencji"? Wydaje się, iż można spotkać się z wszystkimi tymi rodzajami stosunku do sztuki. Ich ocena wykraczałaby poza zakres niniejszych rozważań, chciałbym tylko podnieść istnienie tej sprawy, potrzebę uświadamiania sobie, jakie stanowisko zaj-

wadzona pod koniec pierwszego etapu reformy, czyli około roku 1980, eliminowałaby dzisiejsze technika i licea zawodowe. Wprowadzając w klasach IX—XI cztery ciągi o tzw. szerokim profilu zawodowym (matematyczno-fizyczno-technicznym, chemiczno-biologiczno-rolniczym, społeczno-ekonomicznym, humanistyczno-kulturalnym), spychałaby na zakłady pracy konkretne przysposobienie zawodowe tych uczniów, którzy skończyliby edukację w klasie XI i chcieli przystąpić do pracy zarobkowej, zaś wyższym uczelniom przygotowywałaby tych kandydatów, którzy zechcieliby podjąć trzyletnie studia kształcące średni personel zawodowy lub 4—8-letnie studia magisterskie.

I tu właśnie powstają owe pytania. Co się będzie działo z całą bazą materialną i zapleczem dzisiejszych techników i liceów zawodowych, z dosyć wąsko wyspecjalizowanymi warsztatami i pomocami naukowymi? Gdzie ma się podziać dzisiejsza kadra wyspecjalizowanych nauczycieli zawodu? Dalej — ja sobie nie wyobrażam, jak sobie wyobrażają zakłady pracy, obarczone przecie zadaniami produkcyjno-usługowymi, szkolenie tych uczniów, którzy po skończeniu 11-latki będą chcieli stanąć do pracy? Jakich tu trzeba inwestycji, jakiej kadry? Już z obecnych dyskusji widzę, że zakłady pracy wcale sobie tego nie wyobrażają, a jeszcze przecież będą musiały dokształcać zawodowo tych uczniów, którzy wykruszą się podczas nauki w 11-latce. Czy — następnie — kształcenie średniego personelu zawodowego musiałoby wymagać aż 14 lat nauki z zaangażowaniem w to wyższych uczelni? Ponadto eksperci przewidują jakieś nowe szkoły zawodowe, „trwające — w zależności od potrzeb — od 0,5 do 1,5 — 2 lat, kształcące wysokokwalifikowanych robotników, majstrów i brygadzistów", tworzone w przypadku trudniejszych specjalności. W ogóle przyszłość szkolenia zawodowego, umożliwiającego podjęcie konkretnej pracy — poza przypadkiem studiów magisterskich — nie przedstawia się w tym optymalnym wariancie zbyt jasno, nawet jeśli wziąć pod uwagę, że istotnie trzeba myśleć o rozszerzeniu dotychczasowego wąskiego, specjalistycznego profilu kształcenia zawodowego na poziomie średnim ze względu na konieczność przeprofilowywania kadry w szybko zmieniających się warunkach nowoczesnej techniki (zanikanie pewnych zawodów, powstawanie nowych).

Nie chciałbym być źle zrozumiany. Nie neguję totalnie wariantu upowszechnienia szkoły średniej, faworyzowanego przez Raport. Specjalnie nie wspominałem o jego walorach, które są ogromne. I jestem nawet skłonny wierzyć ekspertom, a raczej wierzyć w pomyślność tego mariażu polityków z ekspertami, zresztą dziś polityk po części winien być ekspertem, zaś ekspert politykiem, tylko niektórym dziennikarzom wydaje się, że mogą znać się na wszystkim. Ale jeśli nawet nie powinniśmy na siłę wyszukiwać jakiegoś piątego wariantu, bardziej umiarkowanego, to w każdym razie trzeba drobiazgowo przemyśleć wszystkie konsekwencje zaproponowanego przez Raport rozwiązania, rozwiać wszystkie szczegółowe wątpliwości, nawet te najdrobniejsze, odpowiedzieć na wszystkie pytania i tą drogą stworzyć intelektualny instrument, który by sprawnie zorganizował przyszłość naszej oświaty.

Bardzo nowoczesne na przykład wydaje się myślenie o przejęciu wielu funkcji wychowawczych i kształcących przez zakłady pracy, włączające się tym sposobem w system kształcenia ustawicznego. Lecz zarazem jest to bodaj najtrudniejszy moment omawianego wariantu upowszechnienia szkoły średniej, moment słabiej rozpracowany w Raporcie, przynajmniej w skróconej wersji Raportu, którą dysponuję. A przecież wiadomo, jak dziś wyglądają rozmaite kursy dokształcające, organizowane przez rozmaite zakłady. Szczególnie myślę tu o możliwościach zakładów małych.

Jeśli mamy przyjąć ten optymalny wariant ekspertów, to musimy założyć, że uda nam się w sposób równie optymalny spełnić wszystkie warunki wstępne, wymagane do powodzenia realizacji owego wariantu: wygospodarowanie środków na inwestycje rzędu 220—250 miliardów zł do roku 2000, przygotowanie odpowiedniej kadry nauczycielskiej, nowych programów, podręczników i tak dalej i tak dalej. To założenie jest mocną i zarazem słabą stroną proponowanego wariantu i ono jest jego ryzykiem.

Maciej Podgórski

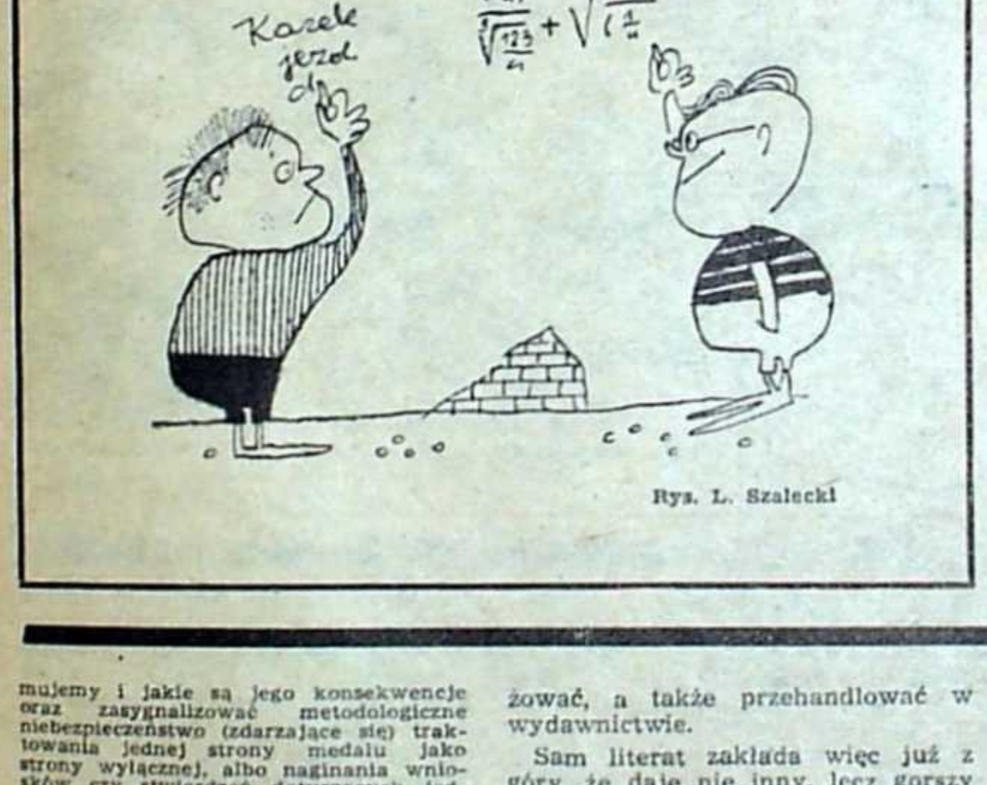

Rys. L. Szalecki

IV Tydzień Archiwów

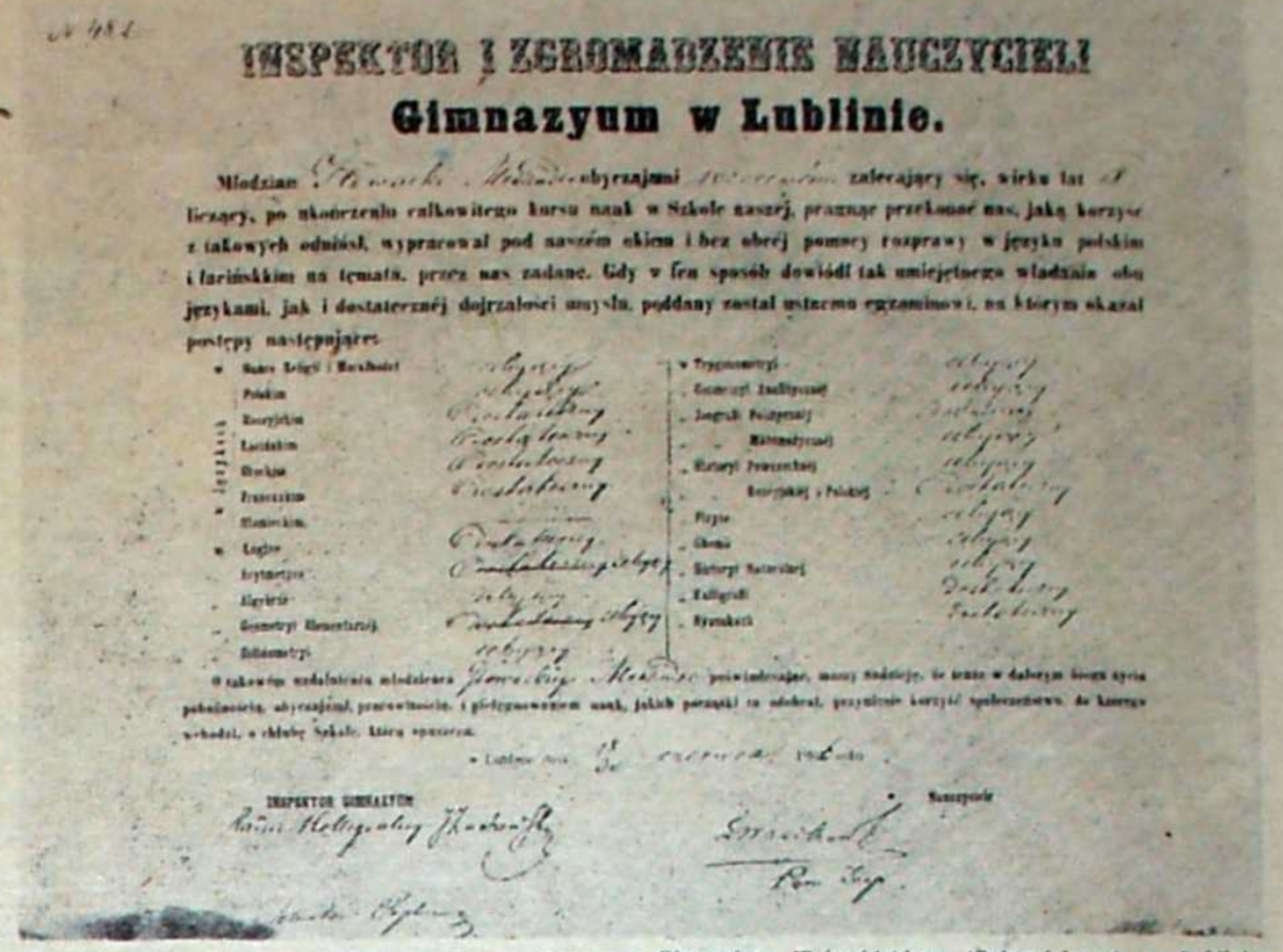

INSPEKTOR I ZGROMADZENIE NAUCZYCIELI
Gimnazyum w Lublinie.

Młodzian [illegible] obyczajami [illegible] zalecający się, sześć lat liczący, po ukończeniu całkowitego kursu nauk w Szkole naszej, pragnąc przekonać nas, jaką korzyść z takowych odniósł, wystawował pod naszém okiem i bez obcej pomocy rozprawy w języku polskim i łacińskim na tematy, przez nas zadane. Gdy w ten sposób dowiódł tak umiejętnego władania obu językami, jak i dostatecznéj dojrzałości umysłu, poddany został ustnemu egzaminowi, na którym okazał postępy następujące:

Nauka Religii i Moralności	[illegible]	Trygonometryi	[illegible]
Polskim	[illegible]	Geometryi Analitycznéj	[illegible]
Rosyjskim	[illegible]	Logiki Psychologii	[illegible]
Łacińskim	[illegible]	Matematycznej	[illegible]
Greckim	[illegible]	Historyi Powszechnej	[illegible]
Francuzkim	[illegible]	Rosyjskiej i Polskiej	[illegible]
Niemieckim		Fizyce	[illegible]
Logice	[illegible]	Chemii	[illegible]
Retoryce	[illegible]	Historyi Naturalnej	[illegible]
Algebrze	[illegible]	Technologii	[illegible]
Geometryi Elementarnéj	[illegible]	Rysunkach	[illegible]
Stereometryi	[illegible]		

O zakowie uzdolnienia młodzieńca [illegible] powziąwszy, mamy nadzieję, że wraz w dalszym biegu życia pełniejszą, ubogacającą, praworządnie i pożytecznie nauk, jakich poznał te zalążki, przyniesie korzyść społeczeństwu, do którego wchodzi, a chlubę Szkole, która opuszcza.

Lublin dnia [illegible] 1[illegible]

INSPEKTOR GIMNAZYUM — Nauczyciele

Świadectwo szkolne Aleksandra Głowackiego ukończenia Gimnazjum Wojewódzkiego (Gubernialnego) w Lublinie, oryginał w zbiorach Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Lublinie.

DYREKTOR Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Lublinie spojrzał na mnie podejrzliwie, gdy poprosiłem o wyjaśnienie:

— Swoje zbiory liczycie na metry bieżące zajmowane na półkach. Czy chodzi o dokumenty postawione „na sztorc" czy też położone wzdłuż? Bo np. taki dokument Łokietka o nadaniu Lublinowi praw miejskich, gdy go ułożyć „na sztorc", zajmuje wszystkiego jeden czy dwa milimetry. A wasze zbiory, jak przeczytałem w wydanym przez was ostatnio informatorze, zajmują siedem kilometrów...

Gdy po kilku minutach dyrektor przekonał się, że jestem jednak jako tako przy zdrowych zmysłach, zaczął mi tłumaczyć, że zbiory oblicza się także według tzw. jednostek, których lubelskie WAP posiada 512 tysięcy, a razem z czterema archiwami powiatowymi (Zamość, Chełm, Łuków i Kraśnik Fabryczny) 650 tysięcy. Jakaś miara być musi, ale jasne, że dokument dokumentowi nierówny.

Nasza rozmowa wiązała się z trwającym właśnie IV Tygodniem Archiwów, międzynarodowej imprezy, odbywającej się co pięć lat pod auspicjami UNESCO. Tydzień staje się okazją do przypomnienia władzom i społeczeństwu o problemach archiwistyki. A jest co przypominać! W urzędach bowiem i instytucjach nie pamiętają, że podstawowe ich dokumenty po 10 lub 15 latach trafią do archiwum, aby za lat sto czy dwieście świadczyć o naszym dniu dzisiejszym. Sporządzają więc te dokumenty niedbale, przesyłają egzemplarze nieczytelne, a z błędami ortograficznymi także.

Tegoroczny Tydzień w Polsce nawiązuje przede wszystkim do rocznicy Komisji Edukacji Narodowej. Z tej okazji lubelskie WAP w wyniku ustaleń z Kuratorium prześle wkrótce do wszystkich szkół średnich województwa zestaw fotokopii 27 dokumentów, dotyczących historii oświaty w Polsce. Wśród nich i fotokopię świadectwa Prusa. Świadectwo to odnaleziono niedawno w archiwum.

A w ogóle to dyrektor zaprasza szkoły, aby częściej organizowały wycieczki do archiwum. Będą zawsze mile widziane, młodzież będzie mogła zobaczyć oryginały ważnych dokumentów.

Wielu ludzi wyobraża sobie, że archiwum to jakieś przesiąknięte specyficzną wonią starego papieru pomieszczenia, w których gromadzi się mało komu potrzebne papierzyska. Prawda, że z archiwów korzystają przede wszystkim naukowcy czy studenci — zresztą w Lublinie nie w nadmiernej ilości. Ale nie tylko. Ostatnio archiwa zostały włączone do jednolitego krajowego systemu informacji naukowej i technicznej, w ślad za czym przyznano i odpowiednie etaty. Tak więc będą wyszukiwane i zużytkowywane do bieżących potrzeb dawne opracowania dotyczące np. gospodarki komunalnej, obiektów zabytkowych czy geodezji. Chodzi tu o dawne dokumentacje techniczne, plany i rysunki, na których odtworzenie wydaje się nieraz duże sumy i poświęca wiele czasu — nie wiedząc, że takie materiały można znaleźć w archiwach. Tak więc i administracja gospodarcza przekona się wkrótce, że zasoby archiwalne mogą jej znacznie ułatwić życie.

Lubelskie zbiory archiwalne wciąż wzbogacają się o nowe pozycje. Np. niedawno rodzina znanego architekta Ignacego Kędzierskiego przekazała wiele zebranych przez niego, a bardzo cennych opracowań dotyczących Lublina. Dr Henryk Dobrowolski z Krakowa przesłał dokumentację o tajnym nauczaniu podczas okupacji w powiecie lubartowskim. Od rodziny Golińskich zakupiono cenne dokumenty dotyczące historii Urzędowa.

Niestety, wiele jeszcze cennych, a nieznanych nawet historykom dokumentów znajduje się w rękach osób prywatnych. Chodzi tu zwłaszcza o dokumenty z okresu ostatniej wojny. Wskutek oporu różnych bibliotek nie można też doprowadzić do tego, aby archiwalia z tego skomplikowanego, a wciąż nie całkowicie jeszcze znanego okresu znalazły się w jednym miejscu.

(di)

mujemy i jakie są jego konsekwencje oraz zasygnalizować metodologiczne niebezpieczeństwo (zdarzające się) traktowania jednej strony medalu jako strony wyłącznej, albo naginania wniosków czy stwierdzeń dotyczących jednego zagadnienia na inne. Gorzej jeszcze, jeśli na tak kruchej podstawie dochodzi się do rozstrzygnięć pryncypialnych.

Tak zaś dzieje się czasem w zakresie upowszechniania. Niektórzy działacze kulturalni, głównie z pionu administracyjnego, wychodząc z empirycznego faktu, że masowy odbiorca nie rozumie np. muzyki poważnej, nie interesuje się nią, stają się popularyzatorami złej muzyki. Pomijam już sprawę, że ów jakoby empiryczny fakt jest ustalony na podstawie apriorycznych założeń, gdyż nie ma badań w zakresie potrzeb i możliwości recepcji, nie mamy jasnego rozeznania co do poziomu kultury; obawiam się, czy to nie dawne drobnomieszczańskie gusty przypisywane są tzw. masom. Gorzej, że ta kategoria empiryczna, opisowa (obojętnie — założona, czy rzeczywista) zostaje zmieniona w kategorię imperatywną, a z kolei jej treść jest sprzeczna z podstawowym założeniem naszej polityki kulturalnej (które trzeba uważać za wielką zdobycz) — z zasadą upowszechniania, rozwoju.

Wydaje się to tym bardziej niepokojące, że sztukę lekką, rozrywkową, masową (pojęcia te często się miesza) utożsamia się zwykle ze sztuką gorszą, a nawet ze szmirą. Zastanawiające jest owo milcząco przyjęte zakorzenienie tego mariażu. Czy źródeł jego nie trzeba by szukać w tym, że jest on bardzo poręczną ideą i alibi? Jeden ze znanych autorów informował mnie onegdaj z pewnym zażenowaniem, że zrobił mały wyłom w swej normalnej twórczości dla napisania kryminału, bo powieść taką da się łatwo i szybko zrealizować, a także przehandlować w wydawnictwie.

Sam literat zakłada więc już z góry, że daje nie inny, lecz gorszy towar, a równocześnie ma nie do odparcia alibi, że wychodzi naprzeciw masowemu zapotrzebowaniu. (Oczywiście, gdy w zakresie twórczości poważnej próba pokazania czegoś nowego skończy się jakimś zagmatwanym niewypałem, jest też alibi: oni nie dorośli, by to zrozumieć). W zakresie upowszechniania, przekazywania mariaż ów pozwala na stosowanie rutynowych metod, zwalnia od obowiązku wprowadzania w tajniki nowej sztuki, a więc i podnoszenia własnych kwalifikacji, równocześnie nie grozi ryzykiem i pozwala na łatwe osiągnięcie efektownych rezultatów: tyle to a tyle imprez zorganizowano itd. Stan taki jest z kolei wygodny dla wszelkiego rodzaju hochsztaplerki kulturalnej i dla elit w ujemnym sensie utrzymywania ekskluzywizmu: pozwala na zachowanie tanim kosztem ochronnego dystansu i na dowolne narzucanie interpretacji, na swobodną działalność giełd i klik. Im niższy poziom kultury, tym lepsze, na asekuracyjnej sofistyce oparte, żerowisko dla snobstwa i uzurpatorstwa. Człowiek jako tako zorientowany pozna się na wartości podsuwanego towaru i jego oceny, natomiast laik musi przyjąć wszystko na wiarę. Różnego rodzaju pseudotwórcy i pseudodziałacze, którzy traktują kulturę jako formę zarobku, zdobycia sławy albo niefrasobliwej wegetacji, nie są zainteresowani w podnoszeniu poziomu kultury odbiorcy. Byłoby to na ich niekorzyść.

W ostatnich latach zwrócono uwagę na zjawisko kultury masowej. Uczepiono się tego pojęcia, widząc w nim chyba możliwość rozwiązania wielu spraw w zakresie upowszechnienia. Czy jednak pozwoli ono wyjść z cieśniny zwłaszcza że okręt ten zbyt obciążono? Wbrew wielu trafnym uwagom proponowałbym jeśli nie porzucenie, to ograniczenie zakresu tego pojęcia, ponieważ może być między innymi parawanem dla niedemokratycznej postawy pogardy dla tzw. tłumu, ponieważ z masowością kojarzy się coś drugorzędnego, zglajchszaltowanego, ponieważ mimo wszystko jej przedmiot jest wieloznaczny. Czy nie lepiej byłoby zmienić kurs z przedmiotu kultury masowej na środki masowego przekazu?

I tu staniemy przed najważniejszym bodaj zadaniem obecnie: możliwie najodpowiedniejszego wykorzystania tych środków (w oparciu o ich specyfikę i analizę dotychczasowego gospodarowania nimi), a także przygotowanie do korzystania z nich (znów w oparciu o dokładny rekonesans, w jakiej mierze i jak się z nich korzysta). Wydaje się jednak, że w sprawie rozeznania, w dziedzinie rozwoju życia kulturalnego nie wystarczą kryteria „sprawozdaniowe"; w obecnym etapie tego rozwoju i możliwościach badawczych, można sobie chyba pozwolić na głębszą analizę. To, że sprzedano tyle a tyle telewizorów, książek, zorganizowano tyle imprez z udziałem dużej liczby widzów czy słuchaczy, da nam jedynie obraz potencjału rozporządzalnego dla oddziaływania, stanu dostępności oraz zakresu rozpowszechnienia. Natomiast co do tego, jaki jest rzeczywisty poziom życia kulturalnego, jak ów potencjał jest wykorzystywany, jak funkcjonuje w społecznych i osobistych wymiarach, taki statystyczny miernik pozwala co najwyżej na częściową i pośrednią orientację.

Współczesne środki przekazu (prasa, radio, film, telewizja) zapewniają dwa podstawowe warunki upowszechniania: powszechność i dostępność. Ale w praktyce sytuacja nie jest tak jednoznaczna. Przede wszystkim istnieją jeszcze poważne dysproporcje między „zaopatrzeniem" wielkich miast i terenu, w ocenie życia kulturalnego na stopniu powiatu i niżej. Np. życie to jest stałym przedmiotem zmartwień publicystów i władz kulturalnych, choć gdyby oceniać uczestnictwo w życiu kulturalnym w stosunku do liczby ludności, zdaje się, że porównanie wypadłoby na korzyść prowincji. Mimo braku kadr. Jak głęboko poczucie niższości terenu ugrzęzło i jak błędne kółko stworzyło, unaocznia pokazana przez kronikę filmową sytuacja artystki w Węgorzewie, której wyrobów artystycznych nie chcą tam nabywać, bo gdyby były dobre, nie siedziałaby na prowincji.

Dostępność to również sprawa odpowiedniego wprowadzania, popularyzacji, przygotowania do korzystania z tego, co dostępne. Jeśli ktoś ma samochód, a nie umie jeździć, to nie będzie z niego korzystał. Jeśli założymy, że w pełni została otwarta możliwość korzystania z dóbr kultury, to nasuwa się pytanie, czy idzie z tym w parze i proporcjonalnie działalność w kierunku podnoszenia kultury odbiorcy, dania mu kluczy do otwierania poszczególnych dziedzin kultury? Czy i w jakim stopniu zadania te spełniają takie czynniki, w których gestii to leży, jak prasa kulturalna, szkolnictwo, radio, instytucje upowszechniania itp.? Oto jeszcze jeden problem, który wymagałby osobnej analizy.

A jeżeli stwarza się wszelkie warunki i możliwości i mimo to brak oddźwięku, zainteresowania? To znów wielkie zagadnienie, skała, o którą rozbija się zamiłowanie, wiedza i wysiłek niejednego działacza i artysty, a którą trzeba by zbadać — jakie są tego przyczyny, jakie by znaleźć środki wciągania.

Dużo jest problemów czekających na szczegółowe rozpatrzenie, by pchnąć naprzód zagadnienie polityki kulturalnej — w oparciu o wypracowane generalne zasady, nie tylko o urozmaicane formy pracy kulturalnej. W tym duchu też spróbowałem podjąć ten temat, rzucając garść sugestii i spraw do rozważenia i stojąc na stanowisku zasady podnoszenia poziomu, a nie dostosowywania stylu życia kulturalnego do nieokreślonych gustów niby to masowego odbiorcy.

Fakt, że uważam, iż problemów jest dużo i są w gruncie rzeczy trudne, nie znaczy, bym sugerował jakiś pesymistyczny obraz. Lubimy czasem szamotać się między Scyllą optymizmu i Charybdą pesymizmu, ale czy to do czegoś prowadzi? Wydaje mi się, że pewniej płynęlibyśmy, gdybyśmy licytację tę ominęli i stwierdziwszy, że mamy spore osiągnięcia, dostrzegali równocześnie, że dużo jest jeszcze do zrobienia i szukali sposobów realizacji.

Zdzisław Jastrzębski

POTRZEBA ROZWAGI

Maria Bechczyc-Rudnicka

SKORO się próbuje scharakteryzować pewną większą całość, zwłaszcza „collage'ową", modyfikującą się w miarę upływu czasu, trudno się obejść bez tak dogodnego punktu odniesienia, jakim są narodziny danego zjawiska. Dlatego też niniejszą ocenę tegorocznej Lubelskiej Wiosny Teatralnej, pobieżną z obiektywnych powodów technicznych, zaczynam jednak *ab ovo*, tj. od przypomnienia momentu powstania imprezy w odświętnym roku Tysiąclecia. A wracam na chwilę do 1966 r. nie gwoli pasji pamiętnikarskiej, której jestem pozbawiona, lecz aby zamarkować walor dystansu dzielącego ów początek od dzisiejszego stanu przedsięwzięcia. Ułatwiając własną robotę obserwatora wnioskującego, pozwolę sobie wszakże zredukować odtworzenie mej osobistej impresji do jej tytułu na piśmie, który brzmiał podobnie jak dzisiaj: „Potrzeba rozwagi".

— Cóż to! — zawoła czytelnik — a więc koło się zamknęło? Gdzież „walor dystansu"?

Niepotrzebny alarm. Walor jest, widoczny dla mnie, jak dla każdego sympatyka tej ośmiokrotnie przeżywanej Wiosny. Albowiem pierwsza przestroga miała na względzie relację: repertuar — poziom artystyczny (tj. mierzenie zamiaru na siły), natomiast obecną „potrzebę rozwagi" wiążę ze skomplikowanymi sprawami powstającymi na zdobytym już znacznie wyższym szczeblu warsztatu scenicznego, które to zdobycie inspirowało mi w r. ub. tytuł felietonu „Pochwała wiosny". Czy powtórzyłabym dziś z kolei ten tytuł? Nie. Byłoby to zbyt daleko idącym uproszczeniem. Może ktoś, jeśli chce, podłożyć pochwałę pod moją diagnozę, że Wiosna lubelska 1973 jest bardziej niż kiedykolwiek kontrowersyjna w sensie ukierunkowania poszukiwań formalnych i nowych treści. Inaczej mówiąc — stwierdzenie samego faktu kontrowersji skomentowałoby się jako pochwałę. Ale w tym miejscu pozostawmy kwestię otwartą, biada porywającemu się na modne hasła.

Kolegium Redakcyjne „Biuletynu" Wiosny apeluje: *Dziennikarze!!! piszcie o festiwalu dużo i ciekawie!*

Przepraszam Was, Moi Drodzy, ale jest to dla pracownika pisma codziennego regułą równie elementarną, jak nieczęsto osiągalną w obydwu swych członach, które się po trosze wzajemnie wykluczają. Widzi mi się, iż należałoby tym razem specjalnie zalecić krytykom wszelkiego autoramentu coś odmiennego: „Postarajcie się, Panowie (i Panie), wyzbyć się mentorstwa i orzecznictwa. Prosimy kłócić się z nami na zasadzie partnerstwa. Jużeśmy wydorośleli i tuż - tuż porzucimy etap skrajnie naiwnej amatorszczyzny (przynajmniej w rozważaniach teoretycznych)",

Zakładając, że tak mi powiedziano, przyjmuję wezwanie czy wyzwanie.

Bo i racja. Postarajmy się przecie dostrzec przede wszystkim wagę przechrzczenia omawianej Wiosny z SWT na LWT. A więc jest już ona pleno titulo nie Studencką Wiosną Teatralną, lecz Lubelską Wiosną Teatralną. Proszę! Osobiście witam tę zmianę z satysfakcją, jako podnoszącą rangę imprezy. Sporo lat temu zarzucałam różnym czynnikom, iż nie potrafiły zdobyć dla Lublina bodaj „strefowego" festiwalu teatrów zawodowych, kiedy takie festiwale były jeszcze do zainicjowania, to znaczy przed ich inflacją. W tych warunkach Studencka Wiosna Teatralna stanowiła poniekąd skromną rekompensatę za ów mankament. Z chwilą jednak, gdy zaczynamy ją traktować jako Lubelską Wiosnę Teatralną w ogóle, ustawiamy eo ipso Lublin w „awangardzie" spotkań teatralnych, ponieważ VIII LWT (tylko nudny pedant sprzeczałby się tu o liczbę porządkową!), ta przemianowana Wiosna ma wymowne założenie w podtytule: „Warsztat Młodego Teatru", co w praktyce może przynieść wybitnie aktywny udział przywódców grup artystycznych tudzież przyjezdnych rzutkich teoretyków, którzy nie muszą być studentami ani uczelnianymi magistrami czy doktorami.

„Robocze" program tegorocznej Wiosny przedstawiał się więc nader okazale. Zrelacjonujmy, choćby bez oceny, sam zakres działania jej pięciu „warsztatów":

Warsztat I, prowadzony przez Małgorzatę Dziewulską i Ewę Benesz z Puławskiego Studia Teatralnego, zakładał realizację cyklu omówień i demonstracji dotyczących pracy nad tekstem poetyckim w sposób, „który wydaje się wskazywać drogę przywrócenia teatrowi nowoczesnemu słowa jako ważnego środka wyrazu".

Warsztat II pt. „Litery", inicjatywa Włodzimierza Wieczorkiewicza i gdańskiej grupy a, realizował etiudy „na bazie materiałów, elementów przestrzennych i przeźroczy" oraz ekspozycję plastyczną w sali BWA, połączoną z akcją.

Warsztat III, pod przewodem Jerzego Kubickiego, kierownika artystycznego Studia Pantomimy Politechniki Szczecińskiej, zajmował się „teorią i praktyką aktora we współczesnym teatrze ruchu".

Warsztat IV pt. „Percepcja percepcji", realizowany przez artystę plastyka Włodzimierza Borowskiego, ze zgłaszającymi się na ochotników uczestnikami „Warsztatu Młodego Teatru", badał w praktyce zależności między odczytaniem znaku a powstawaniem znaków nowych, i wreszcie —

Warsztat V, pod kierunkiem Lecha Hellwig-Górzyńskiego, poświęcony był omawianiu przyszłości teatru i dróg rozwoju aktorstwa światowego. Dla próby „ustalenia elementów techniki aktora, które są stałe dla różnych stylistyk aktorskich", zaprogramowano tu: 1) ćwiczenia oparte na podstawach yogi i pantomimy, mające na celu harmonijny rozwój psychofizyczny; 2) etiudy aktorskie; 3) ćwiczenia w czystości mowy i prawidłowym funkcjonowaniu aparatu artykulacyjnego aktorów; 4) określenie słowa jako jednego z elementów wyrazu; 5) ustalenie przestrzeni scenicznej i kompozycji aktora w przestrzeni.

Niestety na bezpośrednie zapoznanie się z pracą wymienionych warsztatów obserwatorowi ogólnego przebiegu festiwalu nie dostawało już czasu. Mogę więc przyklasnąć tylko inicjatywie.

Szczególnie poszerzyli ramy Wiosny plastycy. Poza wspomnianym już byłym członkiem lubelskiej grupy „Zamek", Włodzimierzem Borowskim, przeprowadzili w salonie BWA tzw. „akcje": Akcję 1 — Zbigniew Warpechowski, Akcję 2 — Jerzy Boreś, Akcje 3 i 4 — A. Bereziński i A. Dłużniewski, Akcję 5 — Giovanni Lucci.

Gdy poprzednio napomknęłam o kontrowersyjności tegorocznej Wiosny, przede wszystkim owe przed chwilą wyliczone „akcje" miałam na myśli, przyznaję się bowiem bez strachu i żenady, iż jestem zażartym przeciwnikiem konceptualistów, a oni to niejako nadawali ton VIII LWT. Wolno mi być z kolei sui generis kontestatorem? Wolno, jak każdemu. I niech mnie pomawiają o uproszczenia, nie ustanę twierdzić, że konceptualizm jest w większości wypadków agresywnym wybiegiem impotentów artystycznych, sromotną ucieczką od odpowiedzialnego aktu twórczego w jałowe, scholastyczne, domorosłe filozofowanie. Szczęściem, los uchronił świat od konceptualistów na początku jego dziejów. Gdyby nie to, mielibyśmy miast dzieł Leonarda, Rembrandta, Van Gogha, Cézanne'a i innych tytanów malarstwa jedno bezgraniczne NIC. W chwili bieżącej konceptualiści — słupnicy i ich werbalni kibice zapędzają sztukę w ślepy zaułek, wierzę jednak, że moda ta przeminie z wiatrem, jak wszelkie inne „pustosłowie".

Lecz podzielmy się w końcu pokrótce wrażeniami z zasadniczych imprez VIII Lubelskiej Wiosny Teatralnej — ze spektakli zaprezentowanych na scenie pudełkowej bądź wydzielonej w inny sposób przestrzeni scenicznej.

Oprócz głównego gospodarza, ofiarnego, bezinteresownego „managera" imprezy, AT UMCS „Gongu 2" wystąpiło w tygodniu od 30 IV do 6 V dziewięć krajowych teatrów studenckich — oto ich spis w kolejności nieusystematyzowanej:

Krakowski „Teatr 38", Teatr Eksperymentalny „OKO" — również z Krakowa, Gdańska Scena Eksperymentalna, Studio Pantomimy Politechniki Szczecińskiej, Studio 73 przy Pomorskiej Akademii Medycznej w Szczecinie, ST „Szkodagadać" z Częstochowy, zespół Akademii Ruchu z Warszawy, Teatr „Kalambur" z Wrocławia oraz lubelski AT KUL. Nadto rumuński Studencki Teatr z Iaşy, pod kierunkiem świetnej reżyserki zawodowej Cataliny Buzoianu, znanej Lublinowi z kilku przedstawień w Teatrze im. J. Osterwy.

W sumie pokazano dwanaście spektakli (nie licząc imprez teatralnych towarzyszących, jak Teatr Jednego Aktora Wojciecha Krzyszczaka czy „Warianty" lubelskiego Studia Wizji i Ruchu J. Leszczyńskiego, oraz „Wyzwolenie" w Teatrze Osterwy i „Tryptyk Staropolski" w Teatrze Lalki i Aktora im. Andersena). Dziesięć z ogółu prezentacji ST zalecało się interesującymi środkami wyrazu scenicznego. Ten „wyrównany", jak się zwykło mawiać, poziom sprawności scenicznej zawdzięcza się bez wątpienia trafnej selekcji, przeprowadzonej przez grupę „komisarzy", którzy odbyli tournée po studenckich środowiskach teatralnych. I nie miejmy im za złe dwóch przedstawień niewydarzonych pod względem treści i formy („Ukrzyżowanie" oraz „Gdzie są zapałki"), trudno było nie udzielić kredytu zaufania dwom czołowym polskim teatrom studenckim, jakimi są „Teatr 38" i „Kalambur". Uznajmy ich fiasko za paradoksalne, przykre zaskoczenie.

Nie mam w danym momencie możliwości wyszczególnienia formalnych pomysłów szczęśliwych i niefortunnych w takich spektaklach, jak „Inwazja posągów" wg Sartre'a, w reżyserii i oprawie scenicznej Maksymiliana Szoca (młody zespół „OKO"), czy „Fragment większej całości" oraz „Collage", zrealizowane pod kierunkiem Wojciecha Krukowskiego przez Akademię Ruchu przy AWT w Warszawie, albo „Włókna", spektakl utalentowanego L. Mądzika (KUL), czy też „Kłamstwa duszy ludzkiej" wg tekstów De Costera, połączonych z wierszami gdańskiego poety P. Lejmana, spektakl zrobiony przez W. Wieczorkiewicza (Gdańska Scena Eksperymentalna), atr można by się z nim nie zgodzić, jakoby jego realizacja istotnie przekazywała widowni lunatyzm i subtelną, niemal przeźroczystą fakturę Hieronima Boscha, w którym reżyser szukał inspiracji.

Nie zawiodło także Studio 73 Szczecińskiej PAM (reżyserzy Z. Zdanowicz, A. Kurtycz, J. Podlaszewski) pod względem warsztatowym, choć sposób wykorzystania „Mniszek" Eduardo Maneta może nasuwać zastrzeżenia. Wreszcie „Człowiek" (reżyseria Grzegorza Lewandowskiego, wykonanie zespołu „Szkodagadać") wniósł trochę rozumnej wesołości w ponurą na ogół atmosferę prezentacji teatralnych festiwalu, do której zasadniczo odnosi się mój tytuł: „Potrzeba rozwagi".

Tak, warto chyba zastanowić się, czy nie czas już skończyć z pokutującymi u nas reliktami teatru okrucieństwa, z egzystencjalnym Weltschmerzem albo i z „manią prześladowczą", coraz bardziej rozmijającą się z głównym nurtem reformowanego współżycia socjalnego.

Dlatego też, wyznam otwarcie, wziąwszy udział w ankiecie festiwalowej, oddałam głos za „Życiem — jawą" Bryll w wykonaniu „Gongu 2", ceniąc zawartą w tym spektaklu zdrową krytykę społeczną i dobrze ukształtowaną formę, która wnosi do tekstu wziętego na warsztat — nowe wartości.

Akademicki Teatr UMCS „Gong 2". Ernest Bryll: „Życie — jawą" w reż. Andrzeja Rozhina.

Fot. A. Polakowski

Z dziejów żeglugi na Lubelszczyźnie

MAŁY GDAŃSK

I pomyśleć — to piękne, choć niewielkie dziś miasteczko, otoczone z trzech stron malowniczymi wzgórzami, było niegdyś największym i najruchliwszym portem środkowej Wisły, choć rozporządzało niewielkim nizinnym terenem, przydatnym dla manipulacji towarami przy załadunku i wyładunku na statki. Do Kazimierza przybywali kupcy z Torunia, Elbląga, Gdańska, często także z Holandii i Anglii po zakup i odbiór zboża i innych płodów rolno-leśnych, które wysyłano do Gdańska. Miasto rozwijało się i bogaciło czerpiąc wcale spore dochody z handlu i usług transportu wiślanego.

A zawdzięcza to głównie Kazimierzowi Wielkiemu, który, jak głosi tradycja, „zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną". Przykładem ostatniego jest właśnie Kazimierz. „Król kmiotków" płynąc pewnego razu Wisłą z Krakowa w dół rzeki, ujrzał wśród zielonych pagórków i malowniczego otoczenia niewielką osadę z klasztorem. Miejsce to tak zachwyciło króla, że postanowił urządzić tu letnią rezydencję dla siebie i dworu. Odkupił osadę od zakonników i nadał jej prawa miejskie. Taki był początek miasta Kazimierza.

Wprawdzie podanie miejscowe przesuwa założenie miasta o dwa wieki wcześniej i przypisuje to Kazimierzowi Sprawiedliwemu, od którego miało otrzymać nazwę, ale za prawdziwego twórcę miasta, i to miasta murowanego, historia uznała Kazimierza Wielkiego. Nie tylko bowiem ten król zbudował na wzgórzu obronny zamek z kamienia, także dwa duże piętrowe spichrze na zboże, ale również zmuszał mieszczan do budowy murowanych domów, a kupców do wznoszenia magazynów na zboże i składnic na inne towary, upatrując w rozwoju handlu wiślanego wielkie korzyści dla miasta-imiennika. Dodać należy, że i lądowy szlak handlowy z południowego Wschodu do Gdańska zahaczał o Kazimierz, gdzie karawany kupieckie przeprawiały się przez Wisłę.

Następcy Kazimierza na tronie krakowskim także nie zaniedbywali miasta. Władysław Jagiełło obdarzył je przywilejem na tygodniowe targi. Jagiellończyk pozwolił na pobór mostowego. Zygmunt August wyłączył Kazimierz spod władzy starostów, zezwolił na trzy ogólnowojewódzkie jarmarki roczne, na wystawienie dwóch młynów, a ponadto nadał przywilej wolnego sprowadzania Wisłą soli z żup krakowskich jak i handel solą. Zygmunt III uwolnił miasto od podwód i kwaterunków wojskowych, założył w Kazimierzu komorę celną i ustanowił prawo składu na towary przechodzące przez miasto. Wreszcie dla udogodnienia przeprawy przez Wisłę i dowozu zboża z lewego brzegu do właściwego portu zbudowano stały most, a za przejazd pobierano wyższe ceny jak gdzie indziej na Wiśle.

Nic dziwnego, że przy tylu przywilejach i dogodnym położeniu na skrzyżowaniu dróg lądowej i wodnej Kazimierz stał się w niedługim czasie jednym z największych miast handlowych w Polsce; kupcy zagraniczni mieli tu swoich stałych przedstawicieli, a często i sami się tu osiedlali. Ze względu na wielonarodowy charakter kupiectwa i duże obroty handlowe nazywano Kazimierz „małym Gdańskiem".

Złotym okresem dla handlu i kupców Kazimierza był wiek siedemnasty. Już na przełomie tego i poprzedniego stulecia Kazimierz staje się jednym z najruchliwszych portów rzecznych wśród miast położonych nad Wisłą na południe od Warszawy. W połowie tego wieku kupcy kazimierzowscy stanowili ok. 40 proc. kupców zbożowych Lubelszczyzny i wywozili Wisłą ok. 44 proc. płodów rolnych, podczas gdy na przykład Sandomierz uczestniczył w spławie zboża Wisłą zaledwie w 10 proc. Również i w imporcie śledzi, drugiego ważnego artykułu w transporcie wiślanym, Kazimierz uczestniczył w 53—54 proc. Był więc nie tylko centralnym ośrodkiem wywozu zboża, ale także głównym punktem zaopatrywania szerokiego zaplecza w śledzie i inne artykuły kolonialne. Rozmiary handlu śledziami pozwalają przypuszczać, że Kazimierz obsługiwał tymi artykułami nie tylko rynek krajowy, ale, być może, i sąsiednie zagraniczne, jak Węgry, Czechy i Śląsk. W porównaniu z poprzednim stuleciem udział Kazimierza w obrocie zbożem i śledziami w siedemnastym wieku wzrósł ogromnie i to w sposób nie spotykany w tym czasie w innych miastach polskich. A ponieważ te towary transportowano wodą, w Kazimierzu wykształciły się najbardziej dojrzałe formy handlu spławnego na Wiśle.

Do pomyślnego rozwoju handlu kazimierzowskiego, przede wszystkim zbożem, przyczyniały się słynne na cała Polskę spichrze. W rozlokowaniu ich uderzała celowość i praktyczna przydatność. Przy ich budowie wykorzystywano stoki wzgórz spływające do drogi i brzegu wiślanego, w niedalekiej odległości od brzegu, a jednak tak wysoko na wzniesieniu terenu, aby zabezpieczyć je przed zalewem podczas wysokiego stanu wody. Wznoszono je głównie przy trakcie Gdańskim i Krakowskim. Według lustracji po morowej zarazie lat 1621—1623 tylko w obrębie miasta znajdowało się 25 spichrzów różnej pojemności i architektury. Najstarsze z końca czternastego i początku piętnastego stulecia znajdowały się na Przedmieściu Gdańskim.

W późniejszych czasach wznoszono spichrze nad samą wodą i z urządzeniami do bezpośredniego ładowania zboża na statki. Miało to na względzie ulżenie pracy robotnikom, którzy z dawniejszych spichrzów musieli worki ze zbożem dźwigać na plecach 100 i więcej kroków do statku. Pierwsze spichrze, jak wiemy, budował Kazimierz Wielki, później — zamożniejsi kupcy, także okoliczni właściciele ziemscy, dla których posiadanie obszernego budynku składowego w pobliżu załadunku na statki było wielką dogodnością, gdyż mogli dowozić zboże do portu podczas zimy. Spichrze budowano z miejscowego piaskowca, a wiązania i belki przeważnie z modrzewia.

Pomyślny okres handlu i spławu nie trwał długo dla Kazimierza. Zaciążyły nad jego rozwojem niszczycielskie wojny szwedzko-polskie. Miasto trzykrotnie padało pastwą pożarów. W dodatku i Wisła zmieniła koryto odsuwając się z głównym nurtem ku przeciwnemu brzegowi. Pod miastem utworzyła się mielizna, utrudniająca przystęp statkom do nabrzeża. Zboże można było ładować tylko przy wysokim stanie wody. Kazimierz utracił przodujące stanowisko w handlu i spławie na górnej Wiśle. Sytuacja poprawiła się dopiero w połowie XIX wieku.

Bolesław Kuźmiński

Przystań którą zniszczę odchodząc...

CHATA moich chłopięcych lat zdążyła już odejść na odległość kilku bochenków chleba i dla niepoznaki — wytarzać się w kurzawie mchów.

Odnajduję ją z rzadka i wówczas — zagapieni w obrotność słoneczników — milczymy, choć wybuchają wróble i lecą odłamki jaskółek, by zderzać się raz po raz z mulistymi gniazdami, ssącymi okapy u podnóża strzech.

W takich chwilach: nie spieszą się do obór krowy z pokąsanych łąk, a tylko konie — w stajni spętane drogą — niecierpliwie czekają na przebudzenie się bata i dla zabicia czasu obwarkują zbyt opryskliwy obrok.

Wreszcie — skwierczenie much zasypiających na patelni powały i konający klekot spóźnionych bocianów, spotęgowany tartacznym charczeniem budzika — oznajmiają koniec kolejnego rozdziału książki, w której zbyt dużo brakujących kart.

A kiedy odjeżdżam: postarzała chata składa do modlitwy swój dwudzielny, łamiący się dach i — w miarę jako odwijają się koła furmanki — zanurza bierwiona żeber w niewidoczne zbocze pagórka.

Moje zgarbione plecy długo patrzą przed siebie, wytężając coraz bardziej wzrok. Podobnie mogą spoglądać tylko uszy oddalającego się po strzale zająca.

Zdarza się, że na zesztywniałym szlaku konie zdejmują podkowy — wtedy między kilometrowymi słupami rozlega się płacz ropuch, nadepniętych na rżyskowate odciski skóry.

A człowiek — jeżeli nim jeszcze jestem — jedzie dalej, może zbyt wysoko...

Kwiaty dla Gross Rosen

TY, która przyjdziesz na świat po upływie wielu zachodów słońca i doszukasz się przodka w mojej wielokrotnie zdeptanej osobie — nie podejrzewaj o podzielność uczuć i nie kojarz rewirów śmierci z nazwiskami i imionami kobiet obcego mi plemienia; bo Gross Rosen to tylko strefa ziemi, powietrza i wody, w której ścinano ludzki kwiat i rzucano na brudne ognisko naszej historii; a były to kwiaty zebrane z miejskich bulwarów, spod wychudłych kramików jarmarcznych, z pól utwardzonych i łąk galaretowatych oraz kwiaty z rannych okopów...

Każdemu z nich należałoby wybudować odrębny pomnik, lecz wówczas kula ziemska skamieniałaby do granic przesiąkniętych łzami morskich wód...

W kielichach czaszek naszych, z pewnością większych od pojemności świata, już dzisiaj z trudnością mieści się zaledwie krzyk mordowanych: przebrzmiały, choć jeszcze ciągle aktualny i dlatego mówimy o pyłku i płatkach, a resztę — przykrywamy pokrowcem milczenia; bo czyż można wyrazić tragedię skrępowanych wiązanek, wywołonych z cieplarni Gross Rosen na proces końcowego więdnięcia w oparach bagiennej równiny oławskiej...

Tam, w betonowych filarach zanurzonych w błotnisty grunt — nadal poszukują światła kwiaty, tylko dlatego przesadzone w studenne czeluście stygnącej zaprawy, że nie mogły w nieskończoność rozlewać swej woni...

Ich wierzchołki oszukano, kierując w głąb ziemi i dlatego korzenie pomstują słońcu stertami zapleśniałych butów, szwendających się samopas po nielitościwych muzeach i drogach, po których nikt już nie chadza...

...a jeżeli ktoś zapyta o ten okres, pominięty być może przez waszą historię — odpowiedz, że działo się to w epoce, kiedy twój odległy przodek, ze swoim głodnym bratem, ostudzał w lodowatym strumyku ciepłotę jeszcze ślepych kociąt...

Metafizyczna wspinaczka

POLETKO namacalności wymyka się raz po raz z zasięgu przysłowiowego szkiełka i oka, by ginąć w bezkresnym stepie nieuchwytnych zjawisk i dlatego ludzki dorobek poznawczy tak łatwo daje się przyrównywać do roli psa podwórzowego, oszczekującego na chybił trafił wszystko to, co tylko może się skrywać w nocnych otchłaniach.

W godzinę bezsenności słyszałem rozpaczliwe wycie; mój znajomy kundel przywoływał księżycową poświatę, lecz chmury skrywały księżyc i było ciemno. Dopiero, kiedy zdrzemnął się ów zmęczony pies, na niebie ukazał się księżyc odchodzący od pełni, a na pobliskim dachu — dozorca z naprzeciwka albo poeta poznany w lustrze:

...jego ręce — drogowskazy bezdroży — wypełnione bezruchem, stygły w szczelinach wiatrów;

...jego powieki — okiennice oczu — nie szykowały się do odlotu i może dlatego upodobniały się do zamieszkałych gniazd;

...a jego usta — nieporównywalne, gdyż zbędne natenczas — milczały.

Później — w zaułku, którego w mieście już nie ma — pijany kominiarz uskarżać się począł na zbyt niski wzrost własnej drabiny. Na szczeblach pięter, zaznaczonych wystającymi szczękami balkonów, mignął cień przebudzonego lunatyka. Jego odległa matka podniosła się ze starczym dostojeństwem z posażnej pościeli, drżącą ręką przekreśliła mroczną izbę i odwróciwszy lustro twarzą do ściany, uklękła przed zmumifikowanym obrazem. Ponad aureolą gromniczne świeczki ciskała gromy niebu za odebranie przeszłości i nie danie przyszłości.

— Jest czas teraźniejszy: sekundy... dnia... i roku... oraz teraźniejszość: motyla... człowieka... i ziemi...

Poemat o szczęściu

NIE zderzyłem się z pierzem oskubanych ptaków i dlatego nie pociemniało mi w oczach ludzką nocą. Moje okno żarzy się nadal, zakłócając równowagę plastyczną domu.

„A poza tym, jest cicho... Spokój gnieździ się na cmentarzach i w sąsiedztwie ostatnich świątków przydrożnych. Bezlitosny wiatr przemyka się bezszelestnie, choć całkiem jawnie, przez bezlistne sady i zamraża w resztkach ptasich dziobów końcowe refreny napoczętych pieśni. Milczą i starcy, bezgłośnie modlący się do coraz częstszych bogów, którzy są wszędzie albo nigdzie..."

Aleksy Kazberuk

Do diabła z refleksjami — przebacz mi boże, iż sięgam do twego antypoda — do diabła... Po trzykroć: do diabła! Zaczynam przecież poemat o szczęściu, nie zaś — wstęp do pamiętników hieny cmentarnej.

„Mój język jest gorszy od broni, on zabija innych; moja pamięć natomiast jest najlagodniejszą istotą — godzi tylko we mnie, nieraz z odległości wielu lat...".

Co to jednak może obchodzić czytelnika, wypoczywającego po trudach codzienności?

Trzeba zacząć inaczej i nie wspominać o tym, że:

„...na drodze do nikąd czyhają zakręty — wyboje w poziomie — i kurczą się noce pod niebem jałowym...".

„...nasze żyły zamulają się na podobieństwo rzek przynoszących płyciny oceanom; i jeszcze moment, a odpadną nam członki, więc popełzniemy na spotkanie wielkiej wody, by — bez szansy pływania — utonąć...".

„...kotwicą staje się każdy poeta, choć nie każdy — wywyższany piętrami wielkomiejskich bloków — jest w stanie powracać głową do ziemi; być wariatem znacznie wygodniej — można łamać nogi najcięższe i obrastać w ulotne plotki..."

Ten poemat o szczęściu trzeba zacząć inaczej, lecz inaczej nie umiem.

„Zamilcz, muszlo... Jutro ziemia utopi się w morzu. Dzisiaj, ktoś naoliwił licznym rzekom zawiasy. Nie czekajmy na fale...".

Rys. D. Opolski

Opowieść z pociągu

JAK NAJDALEJ STĄD...

Stanisław Andrzej Łukowski

ZETKNĘLIŚMY się zupełnie przypadkowo, ale on — jak to później zrozumiałem — liczył tylko na przypadek, na loteryjny traf. Więc kiedy przystanąłem przy tym grobie, bardziej poczułem niż spostrzegłem, że patrzy na mnie. Ubrany niechlujnie, nieduży, o starej zniszczonej twarzy i przedziwnie jasnych, niemal piaskowej barwy oczach, patrzył na mnie chciwie i tak jakoś nieludzko. Tak byłem zaskoczony tym spojrzeniem i tą nagłą jego obecnością, że aż się zląkłem. Sami w tej cmentarnej alejce, w grudniu, tuż przed zmierzchem. Ludzie, którzy byli na pogrzebie mej babki, już się rozeszli. Alejka leżała w głębi cmentarza za rzędem tuj, w pobliżu ani jednego człowieka, i tylko on z tym niesamowitym wzrokiem. A zachowywał się tak, jakby od dawna czekał na mnie i spodziewał się, że zjawię się tu, przy tym grobie, przy którym przystanę, pomedytuję, a nawet, być może, zapalę lampkę. Uczucie, które mną wtedy owładnęło, jest właściwie do dziś trudne do określenia. Ten obcy mi człowiek i ja, cmentarz, cisza taka, że słyszałem jego oddech i te obmacujące i nie wiadomo na co czające się oczy...

Kiedy zagadał do mnie, okazało się, że ma dość przyjemny głos, ale jakby cokolwiek zdławiony. Zapytał, czy w tym grobie leży mój ojciec, a kiedy zaprzeczyłem, zaraz dorzucił, że może krewny, znajomy, ktoś bliski...

Tego grobu to nawet nie pamiętałem, choć w pamięci dość dobrze zachował mi się obraz cmentarza. Widocznie ten nagrobek postawili później, już wtedy, kiedy przestałem chodzić z babką na cmentarz. Bo tak właściwie to opiekowała się mną babka, trochę dziwna kobieta. Otóż niemal codziennie wlokła mnie na spacer na cmentarz. Do dzisiaj nie mogę pojąć w jakim celu. Musiała być wyjątkowo zła pogoda, abyśmy nie odchodzili swego. Babka zatrzymywała się przy sobie tylko wiadomych grobach, przypatrywała się im, czasami miałem nawet wrażenie, że poszeptuje coś do siebie. Tak więc niemal całe przedpołudnie spędzaliśmy na cmentarzu. Babka zabraniała mi mówić o tym komukolwiek. Raz to nawet oberwało mi się porządnie, gdy zwierzyłem się ciotce, starzejącej się pannie, która była mi chyba najbliższą osobą.

Zauważyłem też, że babka niezwykle skrupulatnie przeglądała miejscowe gazety. Znacznie później zdałem sobie sprawę, że interesowały ją głównie nekrologi...

Nie umiałem jeszcze wówczas czytać, ale litery ryte w kamieniu, czy też malowane na tabliczkach, w zadziwiający sposób zapadały mi w pamięć. Ich rysunek ściśle mi się kojarzył z czymś nieokreślenie ostatecznym, nieodwracalnym, zresztą sam nie wiem, jak można to wyjaśnić... I tak na przykład postać mej matki utkwiła mi w pamięci w sposób szczególny. Ilekroć o niej myślę, zawsze widzę ją skuloną w kącie tapczanu, obłożoną książkami i ćmiącą tanie papierosy, których zapachem przesiąkała nawet pościel. I jednocześnie widzę ten prostokątny nasypik z tabliczką. Na czarnym tle białe, świeże jeszcze litery... Ona niechętnie zajmowała się mną, choć przecież na swój sposób musiała mnie kochać, bo byłem jej dzieckiem. Ja wtedy niewiele jeszcze rozumiałem, ale instynktownie, po dziecięcemu wyczuwałem, że ona bardzo by chciała, żeby mnie nie było, żeby... czy ja zresztą wiem... Bo pewnych spraw do dzisiaj nie jestem w stanie w pełni zrozumieć, choć je niejasno wyczuwam. Moją matkę ojciec porzucił, gdy miałem trzy miesiące. Tak więc nawet go nie znałem. Babkę dziadek zostawił z trojgiem nieletnich dzieci. Starsza siostra matki przeżyła ze swym mężem dwa lata. Na szczęście nie mieli dzieci. Druga, młodsza siostra matki, schła w staropanieństwie ze strachu, że może jej się przytrafić to, co tamtym trzem. Pamiętam, że ludzie powiadali, że tego domu nie trzymają się mężczyźni.

Kiedy miałem pięć lat, moja matka popełniła samobójstwo. Tłumaczono mi wtedy, że ciężko zachorowała, no bo i cóż innego można mi było powiedzieć... Ale przecież wszystkiego nie dało się ukryć. Choć wszystko to było dla mnie niezrozumiałe, bo przecież byłem dzieckiem, ale ten ogrom przeczuć, te zasłyszane słowa, zlorzeczenia babki i to litościwe patrzenie ludzi na mnie...

To ciągłe chodzenie z babką na cmentarz nawet czasami mnie bawiło, choć serdecznie nienawidziłem tych spacerów. W końcu nawet wymyśliłem sobie taką zabawę: żeby zaobserwować coś śmiesznego w ubiorze ludzi, w ich zachowaniu. Toteż kiedy natrafialiśmy na jakiś pogrzeb — a zrozumiałe, że natrafialiśmy często — uważnie obserwowałem ludzi, ich twarze, sposób bycia. I niekiedy trudno mi było pohamować się od śmiechu. Teraz myślę, że była to jakaś instynktowna obrona przed całym tym korowodem pogrzebów, grobów, mamrotaniem babki i łzami zupełnie nieznanych mi ludzi.

Babka nigdy specjalnie nie była dla mnie czuła. Zawsze oschła i kostyczna i ciągle jakby zapatrzona w siebie. Dla innych nie była taka. A może tylko tak się maskowała... Bo ona chyba nienawidziła we mnie mojego ojca, a kto wie, czy nawet nie dziadka, do którego — jak kiedyś zdołałem podsłuchać — byłem uderzająco podobny.

Kiedy umarła moja matka, babka zabroniła pisać do ojca. Ale widocznie któraś z ciotek napisała, bo przyjechał na pogrzeb i wtedy zobaczyłem go po raz pierwszy. Babka wówczas na cmentarzu zrobiła taką przerażającą i makabryczną scenę, że dla mnie aż nieludzko śmieszną. Ludzie pewnie myśleli, że ja zachłystuję się od płaczu, a mnie dławił śmiech, niepohamowany histeryczny śmiech, kiedy ona dopadła do tego obcego mi, a będącego moim ojcem człowieka i zaczęła drzeć paznokciami jego twarz. Szarpała go za koszulę i krawat i usiłowała oberwać mu rękawy marynarki. A wszystko to w milczeniu. Aż ludzie obezwładnili ją i odwlekli od niego. Był cały pokrwawiony i w oczach miał to przeogromne zdziwienie, a może rozpacz, do dziś tego nie potrafię powiedzieć.

Ale ja zbyt mocno zagalopowałem się, bo przecież chciałem o nim...

Więc kiedy ten stary człowiek uwierzył mi, wyczuł, czy Bóg wie jeszcze co, że ja jestem tym, na którego on tak uparcie czeka, opowiedział mi — chyba z rozpaczy — całą swoją historię. Przyznam się, że nie jestem w stanie zrozumieć tego jego szaleńczego uporu, tego ogromu nienawiści, tego... Ja... ja nigdy nie przypuszczałem, że aż do tego stopnia można palać nienawiścią, że... Trzeba być chyba człowiekiem chorym, obłąkanym, no... sam nie wiem.

On czekał na człowieka, na kogoś bliskiego, tego, który już od dawna leżał w grobie i który — jak zrozumiałem z opowieści starego — zabił czy zniszczył mu w bliżej nie wyjaśnionych okolicznościach żonę i dwoje dzieci. Stary nie powiedział mi dokładnie o co w tym wszystkim szło, choć dość szczegółowo mówił o sobie. W każdym bądź razie przez tego z grobu został skazany na karę śmierci, którą zmieniono mu na dożywocie. Przesiedział w więzieniach piętnaście lat.

Miał dosyć czasu na rozmyślania. Postanowił, że jak wróci, to zabije tamtego, wyniszczy mu rodzinę, zmiecie z powierzchni ziemi... Nie dawało mu to spokoju. I myślę, że w nim już wtedy nie było wszystko w porządku. Bo on nawet doszedł do tego, że musi przeżyć, dotrwać, aby wrócić i zabić.

I kiedy wrócił, zaczął szukać. W tym mieście, gdzie — jak przypuszczam — obaj kiedyś mieszkali, ludzie niewiele mu mogli powiedzieć. Tamten wyjechał podobno gdzieś na zachód w nieznane. Ale stary nie dał za

Dokończenie na str. 11

okolice sztuki

Tombak

MŁODY malarz skończył akademię, a było to w latach międzywojennych, lub jeszcze dawniej, kiedy sztuka dostarczała przyjemności, podnosiła prestiż domu ziemiańskiego, kształtowała duszę narodu, po części informowała o wyglądzie świata. Młody człowiek otrzymał dyplom uczelni artystycznej i pierwszym jego krokiem był wyjazd zagranicę, najlepiej do Paryża, do Monachium, albo do Rzymu. Jedno, lub dwa, lub wszystkie te miasta znał zresztą jeszcze z okresu studiów. Jako artysta z ambicjami nie liczył się ten, kto nie zwiedził nieco Europy, nie zawadził o muzea Rzymu i Florencji, o pracownie paryskie i knajpy monachijskie, gdzie bardziej gadano o sztuce, niż o jedzeniu, albowiem sztuka stanowiła konkret, rzecz namacalną, uformowaną kryteriami, posiłki natomiast okazywały się nierzadko rzeczą niedostępną, złudną, abstrakcyjną.

Do wybuchu II wojny podróże zagraniczne studentów starszych lat czy absolwentów szkół artystycznych były normą, swoistym przedłużeniem nauki, swobodną formą edukacji. Dziś jeździ się rzadziej, albo nie jeździ się wcale, dziś po studiach wystawia się prace powstałe na ostatnim roku, albo kilka miesięcy po otrzymaniu dyplomu. Dziś jednostkom tylko zależy na doskonaleniu warsztatu i poszerzaniu własnej świadomości, reszta gorączkowo rozgląda się po świecie: gdzie by tu udało się pokazać obrazy, gdzie jest ten następny klub MPiK-u, gdzie jest kolejna „ściana wschodnia", „rynek starego miasta", dzielnicowy klub kultury — instytucje wystawiające chętnie i co popadnie.

I nie ma co się dziwić, bo: podróż zagraniczna kosztuje, a stypendia nieliczne; kilka uczelni plastycznych kształci kilka tysięcy studentów, a sam ZPAP liczy dziś niemal dziewięć tysięcy członków; kto nie wystawia, nie żyje w odczuciu środowiska, a wystawić można właściwie wszystko, byleby znaleźć odpowiednie miejsce. A o to miejsce coraz trudniej.

Te właśnie warunki wydały przedziwną instytucję, funkcjonującą na zasadzie — gdyby posłużyć się ponurym dowcipem — zachodniego professor visiting. Oto malarze z centralnych ośrodków nawiązują półprywatne, serdeczne kontakty z miastami mniejszymi, o stosunkowo nielicznych środowiskach plastycznych, gdzie łatwiej wystawić, dojść do głosu, i z regularnością wschodów i zachodów słońca uszczęśliwiają te tereny własną twórczością, z którą nie bardzo wiadomo, co zrobić w metropolii. U siebie nikną w masie, tu znani są z nazwiska i odpowiednio honorowani. Ostatecznie dla takiego czy innego klubu prasy lub kultury ważniejszy od poziomu samego malarstwa wizytatora jest fakt jego zameldowania w stolicy, może być w Gdańsku. Bogiem a prawdą nie byłoby o co robić awantury, gdyby sprawa ograniczyła się do czystego pragnienia zdobycia publicznej satysfakcji. Najbardziej introwertyczny artysta jest w końcu jednostką uspołecznioną, najbardziej hermetyczna twórczość indywidualizuje zbiorowe doświadczenie, najsilniej pływający na otoczenie — najgoręcej pragnie przytulenia przez tę pogardzaną zbiorowość, o czym co nieco mówi skwapliwe nastawianie piersi do orderów i nagród honorowych. Odrzucenie Nobla przez Sartre'a czy Oskara przez Brando to gesty co najwyżej świadczące o kryzysie określonych, konkretnych instytucji, lecz nie o upadku instytucji w ogóle. Można przypuszczać, że podobnie jak Christo w australijskiej zatoce Little Bay — kać na przypływ nowych: *To co zauważyliśmy w tym lokalu* — pisze Jan G. z Chełma — *po raz pierwszy to, że zostaliśmy mile, grzecznie szybko obsłużeni przez kelnerkę nr. 1, co mało się zdarza. Przełożonych proszę o zwrócenie uwagi. Ta obsługa będzie nam zawsze mile wspominana i ten lokal również. Dziękujemy kierownictwu za bardzo miłą obsługę.* Ale nie wszyscy cenią restaurację „Pod Basztą": *W dniu 14.IV.73 z kolegą będąc w res. „Pod Basztą" Bufetowa odmówiła nam sprzedaży piwa, argumentując tym, że go nie ma, pomimo że było widać go wyraźnie w podręcznym magazynku a nawet na stoliku. Kierowniczka zakładu tłumaczyła to swoistym zarządzeniem w sprzedaży piwa. Książkę skarg otrzymałem dopiero na interwencję u kierowniczki ponieważ bufetowa nie chciała jej podać. Ponieważ w Lublinie jest bardzo źle w podażą piwa (? — przyp. S. S.) sprawa wydaje się nam co najmniej dziwna. Jan S. Lublin, ul. Rusałka.*

W restauracji „Wiejska", której charakter trafnie określa popularna nazwa — „Pod batem", ani konsumenci ani personel nie lubią się ceregielić. Panuje tutaj nastrój swojski, słownictwo dosadne a jędrne, liczba rzucanych w zadymiony przestwór sali wyrazów rozpoczynających się na literę „k", wzrasta w postępie geometrycznym w stosunku do wychylonych kielichów. Zaplątany tutaj prostaczek z prowincji, przerażony atmosferą, wydaje z siebie pisk rozpaczy: *4.IV.1973. Wnoszę skargę do obsługi w restauracji* pod (wyraz nieczytelny — przyp. S. S.) *ze złej jakości obsługi personelu ponieważ w dniu tym wstąpiłem na obiad do tej restauracji, z chwilą gdy weszłem zobaczyłem faceta kompletnie pijanego w dodatku usmarkanego po pas, tak że i obiadu odechciało mi się niewiem dlaczego. Kelnerka która przyjmowała po obiedzie służbę przyjęła od zdającej lokal w takim stanie. Proszę kierownika o wpłynięcie na kelnerkę i odpowiednie ukaranie kelnerki (...) Stanisław B. kol. Płouszowice, poczta Dąbrowa, pow. Lublin.*

Nie można powiedzieć, żeby kierownictwo lokalu lekceważyło głos człowieka z ludu. U dołu strony widnieje zaskakująca adnotacja: *Kierownictwo zakładu po przeprowadzeniu rozmowy z personelem sali ustala: Konsument który siedział na sali pijany, nie był obsługiwany w naszym zakładzie lecz przybył z ulicy. Kelnerkom polecono aby zwracały uwagę żeby pijani konsumenci z ulicy nie wchodzili do lokalu.*

Fakt. Bezsporny... A jeszcze obok — dopisek świadka, obywatela o nieczytelnym nazwisku, z ulicy Lubartowskiej: *Siedząc przy stoliku obok tego pana zauważyłem, że tego pana który spał przy stoliku nikt nie obsługiwał kelnerka kilkakrotnie prosiła tego pana żeby opuścił stolik, jednak to nie skutkowało, dopiero po jakimś czasie dwie Panie kelnerki siłą zmusiły tego pana do opuszczenia lokalu.*

I w „Wiejskiej" można wznieść się na wyżyny wersalu. Tyle, że jest to wersal swoistego typu... Usmarkanego po pas Pana, wytargiwały z lokalu dwie Panie kelnerki...

Wersal wersalem, a książki skarg i wniosków w bufecie nie otrzymałem. Podobno przed dziesięcioma minutami ktoś „wziął ją na salę". Przeszedłem się po sali, zaglądałem ludziom przez ramię na blaty stolików, wypatrywałem książki między bryzolami i schabowymi — nie było o niej ani słychu ani widu. „No co się z nią mogło stać?" — martwiła się sympatyczna blondynka zza lady. „Była a nie ma. — Słuchaj, gdzie książka!" — zwróciła się do rosłego mężczyzny, który uwijał się po sali ze szczotką i niechcący nadepnął mnie obcasem. Przysiadła się do stolika i prowadząc towarzyską rozmowę równocześnie paraliżowała wzrokiem moją rękę trzymającą długopis. Zresztą może i nie bez kozery...

16.III.1973. Spotkaliśmy się z niezbyt uprzejmą obsługą kelnerki nr. 8, która pomimo, że nie podała nam kieliszków i widelców do konsumpcji, to jeszcze nie zachowała się w stosunku do nas. Jeden z konsumentów ubliżył nam o ona stanęła w jego obronie.

„Nie pochwalając za dużo lecz wygląd lokalu podobał mi się oraz będąc w tym czasie obsługa. Na wyróżnienie zasługuje P. Kelner nr 12 która bardzo szybko i z elegancją podała nam posiłek który nam posmakował za co dziękujemy. Proszę u udzielenie pochwały dla wyżej w.kelner. Będę zawsze waszym konsumentem.

Stanisław Z.
Tomaszów Lubelski"

„Stwierdzamy, że obsługa przez obywatelkę Kelnerkę nr 1 jest przez klijentów bardzo lubiana ze względu na naprawdę szybką i serdeczną obsługę.

Józef R.
Józefów nWisłą"

-Proszę o książkę zażaleń...

Stanisław Skibiński

KSIĄŻKA skarg i wniosków... Ta „literatura gastronomiczna" pisana przez autorów wszelakiej maści i wszelakiej konduity... Zawierająca bezmiar stylów polskiego języka, przepojona specyficzną prozą i... poezją. To równocześnie doskonały reportaż ukazujący bez fałszu pewien wycinek życia miasta — w danym wypadku — Lublina, tworzony na gorąco przez samych jego mieszkańców. Reportaż nie posiadający „smaku autentyku", ale sam będący autentykiem. Zazębiają się w nim prostactwo i kultura, szlachetna postawa obywatelska i cwaniactwo, mściwość i wielkoduszność. Słuszna krytyka sąsiaduje tutaj z chęcią wyrządzenia szkody drugiemu człowiekowi, a rzeczowa odpowiedź na stawiane zarzuty, z usiłowaniami krętackiego wymigania się od odpowiedzialności.

Reportaż poniższy pisze się więc w pewnym sensie — sam. Reporter wykonał pracę techniczną: odwiedzał zakłady gastronomiczne, od tych, posiadających kategorię „S", po restauracje o najniższej kategorii i dokonał wyboru tekstów. Ale reporter, pozwalając akcji rozwijać się w sposób żywiołowy, nie może powstrzymać się tu i ówdzie od komentarza oraz zarysowania atmosfery, jaka towarzyszyła zbieraniu materiału. Musi podkreślić fakt, że w większości zakładów gastronomicznych zdołał otrzymać książkę skarg i wniosków, chociaż prawie we wszystkich przypadkach przychodziło mu to z trudem i ze sporymi oporami ze strony personelu. W zależności od kategorii zakładu rozmowa na ten temat przebiegała na różnym poziomie. Jedno jest pewne: w odróżnieniu od lat ubiegłych, książka nie jest „zamknięta u kierownika" podczas gdy „kierownik właśnie wyszedł i nie wiadomo, kiedy wróci" — ale znajduje się na widocznym miejscu w bufecie. Nie trzeba o nią walczyć, nie trzeba się awanturować. Wciąż jednak kojarzy się personelowi z czymś w rodzaju niebezpiecznego ładunku, którego nie należy dawać do ręki konsumentowi, nawet w wypadku, gdy chce on wpisać uwagi pochwalne. Najlepsza książka, to książka bez tekstu...

W orbisowskiej restauracji „Unia", cieszącej się naprawdę bardzo dobrą opinią, trzy razy powtarzałem kelnerowi, że proszę o książkę skarg i wniosków i za każdym razem uznawał on moją prośbę albo za dobry żart, albo... dostawał nagłego zaniku pamięci. Po kolejnej interwencji pojawiła się kierowniczka sali, osoba zresztą miła i kulturalna, i w dyskretny sposób zaczęła mnie badać, po co mi właściwie rzeczona książka potrzebna. A przecież w książce figurują same pochwały w rodzaju: *Za uśmiech, grzeczność i gościnność serdecznie dziękujemy. W zupełnie trudnych warunkach zorganizowano dla nas stoliki i przemiłą obsługę. Jeszcze raz pozwalamy sobie podziękować kierownictwu i Personelowi zakładu.*

Trudniej poszło w „Polonii", restauracji o niezłej renomie lecz... Książkę dostałem niemal natychmiast, ale nie bez pewnego „podparcia się" legitymacją prasową. Wprawdzie, podobnie jak w „Unii", podczas kartkowania materiału panował swoisty wersal, ale bufetowa

Kamena str. 10

Kierownik zakładu napisał na dole strony, że odpowiedzi na ten zarzut nie udzielił *ze względu na brak adresu.* Zdziwił mnie tylko fakt, jak szybko skrytykowana kelnerka doczekała się pochwały z ust innej osoby. Jeszcze tego samego dnia p. Barbara S. z Lublina, pisze: *Dziękujemy kelnerce nr 8 za szybką i kulturalną obsługę, która reprezentuje Zakład Lubelskiej Gastronomii Restatracji* (sic!) *Polonia. Zwróciliśmy uwagę, że w sytuacji nie żadko nieprzyjemnej potrafi reagować w sposób kulturalny.*

Jakoś tak się zdarza, że tekst książek skarg i wniosków jest jak to się mówi w dziennikarskim języku — „wyważony". Zwykle po krytyce następuje pochwała. Nie tylko w „Polonii". Również we wszystkich restauracjach, które następnie odwiedziłem. Aleksander G. z Lublina pisze na temat obsługi w „Polonii" pod datą 16 kwietnia: *Skargę tę składam na kelnerkę nr. 3. Dotyczy ona niewłaściwego zachowania się obsługi. Zamówiłem 50 g. jarzębiaku i 100 g. wina Bacchus. Otrzymałem wódkę żytnią i jakieś wino wytrawne. Kelnerka przyznała się do pomyłki z wódką a z winem zaprzeczyła twierdząc, że jest to napewno zamówione wino, że innego w bufecie nie ma, i że ja nie znam się na gatunkach i nie będę jej „wciskał ciemnoty". Wszystko to mówiła b. podniesionym głosem. W rozmowie z Bufetową okazało się, że ja miałem rację. Kiedy poprosiłem jeszcze o wymianę na jarzębiak doleciało mnie zgryźliwe „ojoj!". Kelnerka nie chciała mi podać książki zażaleń. Za cały incydent nie usiłowano mnie nawet przeprosić.*

Następnego dnia chwali „Polonię" Bożenna P. z ulicy Motorowej w Lublinie: *Pochwala. Będąc na pokazie w Polonii* (pokazie wyrobów gastronomicznych — przyp. S.S.) *najsmaczniejsze potrawy i najwyborniejsze i pikantne nadziewany mostek był pyszny pikantne kaczki kurczaki były wyśmienite żeby był tyki wybur zawsze nie tylko na wystawę życzę dalszych sukcesów w dobrych potrawach.*

Tutaj reporter pozwoli sobie na dodatkowy komentarz: jest faktem, że prawie nigdzie nie spotyka się skarg na złą jakość potraw. Pod względem umiejętności kulinarnych lubelska gastronomia od dawna utrzymuje się na dobrym poziomie. Inaczej bywa z obsługą i grzecznością...

W restauracji „Pod Basztą" przyjemną atmosferę zapewnia dochodzący zespół muzyczny złożony z Cyganów. Siedzi się tutaj jak u pana Boga za piecem, w atmosferze serdecznej, odległej, przedwojennej prowincji, duszoszczypatielnej atmosferze podlewanej obficie alkoholem. Toteż restauracja ma swoich stałych bywalców i nie może narzekać na przypływ nowych: *To co zauważyliśmy w tym lokalu* — pisze Jan G. z Chełma — *po raz pierwszy to, że zostaliśmy mile, grzecznie szybko obsłużeni przez kelnerkę nr. 1, co mało się zdarza. Przełożonych proszę o zwrócenie uwagi. Ta obsługa będzie nam zawsze mile wspominana i ten lokal również. Dziękujemy kierownictwu za bardzo miłą obsługę.* Ale nie wszyscy cenią restaurację „Pod Basztą": *W dniu 14.IV.73 z kolegą będąc w res. „Pod Basztą" Bufetowa odmówiła nam sprzedaży piwa, argumentując tym, że go nie ma, pomimo że było widać go wyraźnie w podręcznym magazynku a nawet na stoliku. Kierowniczka zakładu tłumaczyła to swoistym zarządzeniem w sprzedaży piwa. Książkę skarg otrzymałem dopiero na interwencję u kierowniczki ponieważ bufetowa nie chciała jej podać. Ponieważ w Lublinie jest bardzo źle w podażą piwa (? — przyp. S. S.) sprawa wydaje się nam co najmniej dziwna. Jan S. Lublin, ul. Rusałka.*

W restauracji „Wiejska", której charakter trafnie określa popularna nazwa — „Pod batem", ani konsumenci ani personel nie lubią się ceregielić. Panuje tutaj nastrój swojski, słownictwo dosadne a jędrne, liczba rzucanych w zadymiony przestwór sali wyrazów rozpoczynających się na literę „k", wzrasta w postępie geometrycznym w stosunku do wychylonych kielichów. Zaplątany tutaj prostaczek z prowincji, przerażony atmosferą, wydaje z siebie pisk rozpaczy: *4.IV.1973. Wnoszę skargę do obsługi w restauracji* pod (wyraz nieczytelny — przyp. S. S.) *ze złej jakości obsługi personelu ponieważ w dniu tym wstąpiłem na obiad do tej restauracji, z chwilą gdy weszłem zobaczyłem faceta kompletnie pijanego w dodatku usmarkanego po pas, tak że i obiadu odechciało mi się niewiem dlaczego. Kelnerka która przyjmowała po obiedzie służbę przyjęła od zdającej lokal w takim stanie. Proszę kierownika o wpłynięcie na kelnerkę i odpowiednie ukaranie kelnerki (...) Stanisław B. kol. Płouszowice, poczta Dąbrowa, pow. Lublin.*

Nie można powiedzieć, żeby kierownictwo lokalu lekceważyło głos człowieka z ludu. U dołu strony widnieje zaskakująca adnotacja: *Kierownictwo zakładu po przeprowadzeniu rozmowy z personelem sali ustala: Konsument który siedział na sali pijany, nie był obsługiwany w naszym zakładzie lecz przybył z ulicy. Kelnerkom polecono aby zwracały uwagę żeby pijani konsumenci z ulicy nie wchodzili do lokalu.*

Fakt. Bezsporny... A jeszcze obok — dopisek świadka, obywatela o nieczytelnym nazwisku, z ulicy Lubartowskiej: *Siedząc przy stoliku obok tego pana zauważyłem, że tego pana który spał przy stoliku nikt nie obsługiwał kelnerka kilkakrotnie prosiła tego pana żeby opuścił stolik, jednak to nie skutkowało, dopiero po jakimś czasie dwie Panie kelnerki siłą zmusiły tego pana do opuszczenia lokalu.*

I w „Wiejskiej" można wznieść się na wyżyny wersalu. Tyle, że jest to wersal swoistego typu... Usmarkanego po pas Pana, wytargiwały z lokalu dwie Panie kelnerki...

Wersal wersalem, a książki skarg i wniosków w bufecie nie otrzymałem. Podobno przed dziesięcioma minutami ktoś „wziął ją na salę". Przeszedłem się po sali, zaglądałem ludziom przez ramię na blaty stolików, wypatrywałem książki między bryzolami i schabowymi — nie było o niej ani słychu ani widu. „No co się z nią mogło stać?" — martwiła się sympatyczna blondynka zza lady. „Była a nie ma. — Słuchaj, gdzie książka!" — zwróciła się do rosłego mężczyzny, który uwijał się po sali ze szczotką i niechcący nadepnął mnie obcasem. Przysiadła się do stolika i prowadząc towarzyską rozmowę równocześnie paraliżowała wzrokiem moją rękę trzymającą długopis. Zresztą może i nie bez kozery...

16.III.1973. Spotkaliśmy się z niezbyt uprzejmą obsługą kelnerki nr. 8, która pomimo, że nie podała nam kieliszków i widelców do konsumpcji, to jeszcze nie zachowała się w stosunku do nas. Jeden z konsumentów ubliżył nam o ona stanęła w jego obronie.

„Nie pochwalając za dużo lecz wygląd lokalu podobał mi się oraz będąc w tym czasie obsługa. Na wyróżnienie zasługuje P. Kelner nr 12 która bardzo szybko i z elegancją podała nam posiłek który nam posmakował za co dziękujemy. Proszę u udzielenie pochwały dla wyżej w.kelner. Będę zawsze waszym konsumentem.

Stanisław Z.
Tomaszów Lubelski"

„Stwierdzamy, że obsługa przez obywatelkę Kelnerkę nr 1 jest przez klijentów bardzo lubiana ze względu na naprawdę szybką i serdeczną obsługę.

Józef R.
Józefów nWisłą"

„Przecież dawałam temu panu, co z nim siedziałeś przy stoliku..." „Ty do mnie nie mrugaj, ty do mnie nie mrugaj — powiedział człowiek ze szczotką. — Po cholerę mnie książka zażaleń? Co ja bym do niej wpisywał?" „Pan tu chce książkę zażaleń, a książka zniknęła" — martwiła się dalej blondynka. — „Ten pan oddał pewnie książkę po wpisie do pani kierowniczki" domyśliła się kelnerka. „A pani kierowniczka wyszła?" zapytałem. „Właśnie — powiedziała blondynka. — Akurat wyszła. Ale będzie za małą godzinkę". „To ja za małą godzinkę przyjdę" powiedziałem. „A panu tak na tej książce zależy? Wpisać pan chce co?" „Nie — odparłem. — Ja, wie pani, z prasy, ja poczytać ją sobie tylko chciałem..."

Rys. A. Stok

Po godzinie książka była w bufecie. Reporter usiadł przy stoliku i poczytał sobie. W książce figurowały bodajże cztery zapisy: trzy były z samego początku kwietnia m. in. sprawa dotycząca owego „zasmarkanego po pas faceta", ostatni wpis nosił datę dzisiejszą, a brzmiał następująco: *29 kwietnia 1973. Stwierdza się, że przy konsumpcji obiadu przez kelnerkę nr 4 obsługa była wyjątkowo uprzejma, zadawalająca i szybka za co się składa podziękowanie. Walenty S., Parczew, ul. Zjednoczenia.*

Reporter długo jeszcze siedział w restauracji „Wiejska" i zastanawiał się nad zbieżnością przypadków, jakie chodzą po ludziach...

Dlaczego brak śledzi i ich przetworów? — woła dramatycznie pod datą 11 kwietnia w restauracji „Zamkowa" jeden z konsumentów. — *Nadmieniam, że zostaliśmy mile i uprzejmie obsłużeni. Brak śledzi zdziwił nas, ze względu na dużą reklamę przedsiębiorstwa Centrali Rybnej w Lublinie. Proszę o odpowiedź do Centrali Rybnej w Lublinie.*

W odpowiedzi na zgłoszoną skargę — odnotowuje z żelazną logiką kierownictwo zakładu — *wyjaśniam, że śledzie w tym dniu były w sprzedaży jak również i ryby na które były zwroty po zamknięciu zakładu.*

I komu tu wierzyć? Albo taka sprawa: *14 kwietnia 1973. W dniu tym wracając z podróży służbowej usiłowałem zjeść śniadanie w w/w lokalu. Niestety zobaczyłem tylko wywieszkę na drzwiach wejściowych, że w zakładzie odbywa się remanent. Po upływie około dwóch godzin wróciłem z kolegami do w/w lokalu i zastałem następujący stan faktyczny — starszy pan — oczywiście nazwiska jego nie znam — zajmowszy stalik w jednej z sal konsumpcyjnych, pijąc herbatę, kawę i kilkakrotnie udając się do bufetu dyktował młodej pani wyniki remanentu. Bufet z tego tytułu rozpoczął pracę około godz. 10.00. Proszę — z tego tytułu jaką stratę poniosło Wasze Przedsiębiorstwo! Uważam za stosowne w tej formie jedynie dla mnie dostępnej przedstawić swoje i swoich kolegów wnioski w tym przedmiocie — przeprowadzanie remanentów w tym czasie uważam za niewskazane i ekonomicznie nieuzasadnione. Mało tego — budzi to pewne zakłócenia w toku działalności tego zakładu! Z poważaniem, Ryszard S., Lublin, ul. Okrzei".*

Inwentaryzację w bufecie — stwierdza kategorycznie komisja inwentaryzacyjna — *przeprowadzono przy przerwaniu sprzedaży w bufecie od godz. 7.00 do godz. 9.30. W tym czasie zakład był otwarty* (podkr. S. S.) *dla konsumentów i nic nie stało na przeszkodzie, by ktokolwiek mógł zamówić i skonsumować posiłek z kuchni. (...) Zatym skarga wniesiona jest bez powodu i domyślać się można, że wnoszący skargę pragnął wódki (podkr. S. S.) w czasie, gdy bufet był nieczynny, tj. w godz. od 7.00 do 9.30. Komisja przeprowadzała spis z natury przy udziale tylko jednej osoby majątkowo odpowiedzialnej.*

Ktoś kogoś tutaj bije po oczach... Mściwy konsument komisję, czy zagrożona komisja — szlachetnego konsumenta? A co znaczy przygważdżające replikę ostatnie zdanie, o owej osobie majątkowo odpowiedzialnej?

W „Zamkowej" nie ma wersalu. W „Zamkowej" zdecydowana krytyka wywołuje zdecydowaną odpowiedź. Mniejsza o logikę.

19.IV.1973. Zamówienie przyjęła kelnerka na bryzole z ziemniakami przyszliśmy o godzinie 14.05. Państwo które ze mną siedzieli oni już zjedli ja do tej pory nie otrzymałem do godz. 14.20 Jan G.

Obywatel który napisał skargie na Kielnerkie — replikuje błyskawicznie konsument zza sąsiedniego stolika — *nie ma racji bo był pijany, zażądał wódki a sala jest bez alkocholowa tak że nie chciała go obsłużyć.* (Podpis nieczytelny) *Lublin, ul. Lubartowska".*

Książka wszystko zniesie, papier wszystko wytrzyma. Pijany konsument, któremu słusznie odmówiono sprzedaży alkoholu, woła o książkę skarg i wniosków i gryzmoli mściwie: *W dniu 21.IV.1973 kelnerka numer 9 w sposób nie uprzejmy i kulturalny w obronie przez bufetową nie wywiązuje się z obowiązków pracownika służby żywienia (...) Uprzejmie proszę dyrekcję o załatwienie mojej prośby gdyż nie można załatwić osobiście. Bufetowa stwierdziła, że goście będące w tej rest. są bardzo niegrzeczni, że nie będą obsługiwani. Powołuje się, że wódka jest dla ludzi!!!*

*

Zamykam książkę, odkładam na półkę... przy bufecie, kieruje się do wyjścia.

— A kiedyż pan znowu do nas wpadnie? Pewnie, jak będzie nowa książka zapisana, co, nie? — woła od bufetu kelnerka i nie wiem, czy w jej głosie brzmi złośliwość, goryczy, czy po prostu niewinna przekora.

— Nie wiem — odkrzykuję przez wonniejące śledzikiem i czystą powietrze — Ale teraz wybiorę się chyba do bardziej konwencjonalnej czytelni...

P. S. Powyższy reportaż nie ma nic wspólnego z trwającymi właśnie Dniami Oświaty, Książki i Prasy.

W 8 n-rze „Kameny" z dnia 22 IV 1973 r. zamieściliśmy recenzję Jadwigi Mizińskiej na temat zbiorku poezji Józefa Wiesława Zięby „Z dalekich wypraw". Autorka recenzji omówiła te elementy zbiorku, które jej zdaniem zasługują na pozytywne podkreślenie. Niżej poddajemy pod rozwagę czytelników wypowiedź Stanisława Jana Królika oceniającego tekst utworów z innego punktu widzenia.

Poetae laureati pełzanie

Teza

zabijać kamienny słup
aby przetrwać
na czworakach się trzymać

byle grawitacja
nie wyrzuciła łuków
i nie zmiotła

(s. 39)

FRAGMENT ten wydaje się najwłaściwszy, aby nim rozpocząć omawianie tomiku Józefa Wiesława Zięby. Ponieważ istnieje tylko jeden tytuł — tytuł całości — zamiast zwyczajowych incipitów, każdy cytat opatrzymy numerem strony, z której pochodzi. Mimo iż fragment cytowany powyżej pochodzi z utworu znajdującego się tuż przed końcem zbiorku, wszystko wskazuje na to, że jest to wynik przypadku jedynie, jest to przecież teza całej książeczki, aby nie dopuścić przypuszczenia, że jest to najistotniejsza dla Józefa Wiesława Zięby maksyma.

Od wieków żaden szanujący się poeta, nawet zaprzysięgły outsider, nie przechodził obojętnie nad współczesnymi tendencjami w poezji, czy szerzej — w sztuce. Nie chodzi tu — oczywiście — o naśladownictwo, pochwałę, wreszcie o czcze małpowanie. Warto zatem przyjrzeć się, na co podczas „dalekich wędrówek" autor natrafił i w jaki sposób się do tego ustosunkował. „Stoimy na początku drogi dalekie do nas przybywają wieści" — brzmi to zachęcająco (s. 8). „U drzwi bezradni" (s. 9) i to można przyjąć. „Zniecierpliwieni chodzimy po dworcach" — oblecuje nam wers wędrówkę, ale pointa tegoż wiersza rozbraja: „ale właściwie dokąd mamy jechać" (s. 11). „Składając klocki bardzo mało wiemy" (s. 12) — prawdy zawarte w tych wersetach, bardzo delikatnie mówiąc, są zbyt oczywiste. „Od lat szukamy prostej drogi wyjścia poza swój bezsens poza swój bezwład" (s. 16) — intencje chwalebne. Jeszcze raz błyska nadzieja: „przed nami ciągle jest podróż daleka przed nami ciągle płaszczyzna otwarta" (s. 17).

Miałem ochotę zaprzestać dalszych cytatów, ale, by nie być posądzonym o zbytnią tendencyjność, o oparcie się na kilku utworach wyjętych z początku — przywołam kilka z końca tomiku. „Od czego przyjdzie nam jutro zaczynać" (s. 46) — jeszcze jedno pytanie z tzw. zasadniczych. „W dole bieleją jeszcze światła w studnię przeszłości czas się skrywa" (s. 50) — stwierdzenie nie zaskakuje czytelnika, można pomyśleć, że już nic nie jest w stanie go zaskoczyć. Przychodzi wreszcie czas na podsumowanie: „złamanych skrzydeł nić Ikara wiatraków cichy szum na wiatrach i nie ma pędzla ni kamienia bursztynu magia tkwi na wargach" (s. 51). Ostatnie słowa pochodzą z końcowego utworu, zamykają całość.

Można stwierdzić, że Józef Wiesław Zięba spotkał się w jakimś miejscu z Różewiczem, z tym, że nie w oryginale. O ile Różewicz głosił indolencję poezji, to Zięba indolencję podmiotu lirycznego i — chyba wbrew chęciom — indolencję poety.

Powtórzę jeszcze raz: od wieków żaden szanujący się poeta nie przechodził obojętnie nad współczesnymi tendencjami w poezji. Tymczasem Zięba czuje jedynie Różewicza, czerpie ze studni, która wyschła już dawno, nawet dla swego właściciela. Trudno bowiem uwierzyć by brakiem wiary w możliwości poezji i poety można się było zarazić we wspaniałym mauzoleum, bogato zdobionym sztukateriami i to w momencie, kiedy skronie laur wojewódzki wieńczy. Postawa reprezentowana ongiś przez Różewicza należy dzisiaj do historii, czasy inne, ludzie wędrują dalej. Gros wydawanych tomików zawiera optymizm, przynajmniej poezji dotyczący.

Cytowana na wstępie teza ma swoją antytezę (tak się wydaje jej twórcy):

antyteza

uśmiech tylko został
jak szum liścia

koło się obraca
spada i zanika

(s. 39)

W ten sposób skompletowaliśmy już cały wiersz. Trudno, doprawdy, i z płonącą beczką benzyny znaleźć więcej nihilizmu w tak krótkim utworku. Całe szczęście, że Józef Wiesław Zięba nie pokusił się o dopisanie „syntezy".

Poświęćmy chwilę uwagi tytułowi tomiku: „Z dalekich wypraw". Nabrał się na owe tytułowe wyprawy autor obwoluty i sporządził coś co przypomina mapę konturową wybrzeża Norwegii w miejscu najbardziej urozmaiconym. Tymczasem Zięba pisze: „kostur wędrowania już się nam połupał" i dalej „patrzymy na odlot Ikara naszego syna na progu nowego tysiąclecia" (s. 36). Cóż, mimo najlepszych chęci nie można doszukać się ironicznego potraktowania tytułu, skoro czytamy: „łachmany ksiąg w tym piachu poprzez ich bełkot trudno przełamać języka" (s. 36). Do tej pory języka łapali zagończykowie i to nie po to, by go przełamać, ale po to, by go ewentualnie zmusić do wyjawienia rzeczy ich interesujących. Lapsus tłumaczą dalsze wersy: „biegliśmy bardzo szybko na bieżni ostatniego stulecia do utraty tchu do pogubienia na rozstajnych ścieżkach za wielki to ciężar na starych barkach".

Brak tytułów wydaje się sugerować, że wiersze dają w całości poemat, poemat autotematyczny — o niemożności. Tak jednak nie jest. W takiej interpretacji przeszkadza materii pomieszanie w osobach podmiotu lirycznego. Mamy do czynienia z pierwszą i drugą osobą liczby pojedyńczej, z pierwszą i trzecią osobą liczby mnogiej. Pozostaje skupić uwagę na następującym fragmencie:

pozwalam oczom swym zasypiać
bo wygłodniałe były dzisiaj

(s. 50)

Drugi wers jest bez pokrycia, pierwszy natomiast — nie do przyjęcia, jeżeli mamy mówić o poezji. Aż chęć bierze, by winić redaktora tomu, za to, że wybrał (pewnie) teksty najgorsze. W ten sposób przynajmniej mawiają debiutanci...

Stanisław Jan Królik

* Józef Wiesław Zięba, „Z dalekich wypraw", Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1972.

Krzyżówka - szyfr nr 10

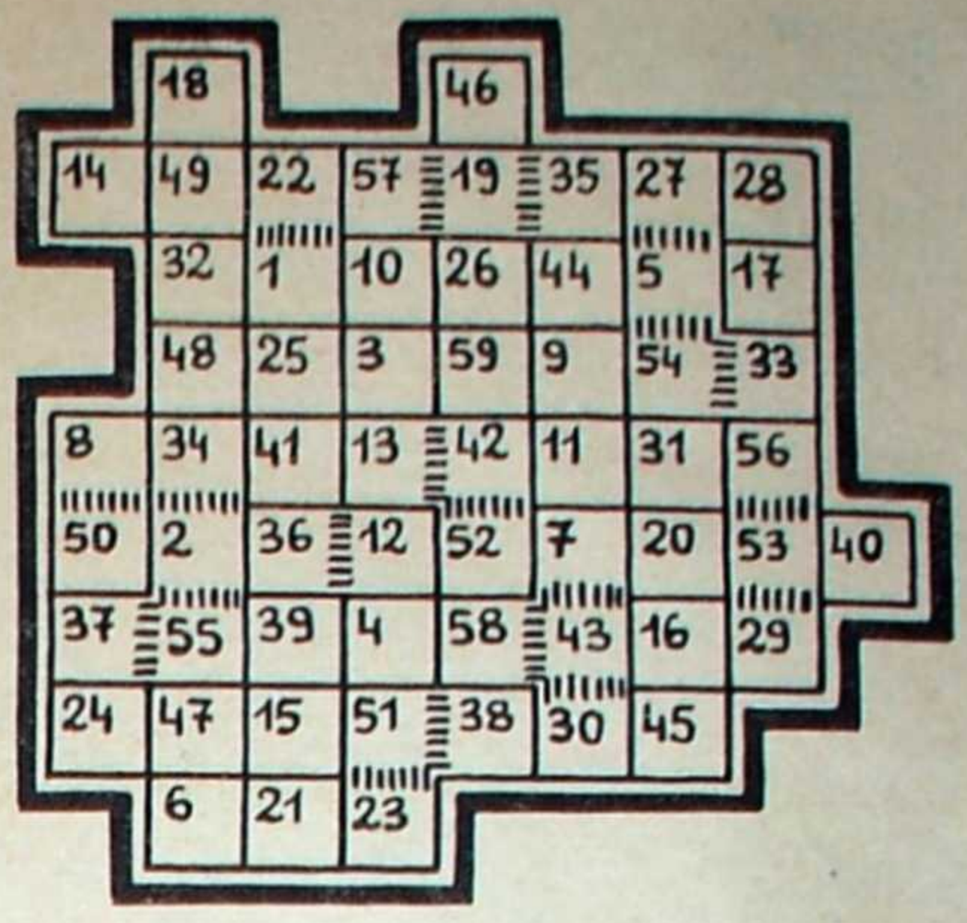

Po prawidłowym rozwiązaniu krzyżówki wszystkie jej litery ustawione w kolejności odpowiadających im liczb od 1 do 59 utworzą główne rozwiązanie sentencji oraz nazwisko jej autora.

Znaczenie wyrazów:

Poziomo: 14. ostrze broni drzewcowej, 35. w starożytnej Attyce (Grecja) jednostka podziału terytorialnego, 32. uroczyste oświadczenie, odezwa, apel, 48. urządzenie do odparowywania solanki, 8. tłuste gleby powstające w dolinach rzek z namułów, 42. dziecięca choroba zakaźna, 49. może być drabiniasty, 12. charakterystyczna oznaka, cecha, 55. miesięcznik filmowy, 43. chronione drzewo iglaste, 24. przenośnie o rumieńcu na twarzy, 38. słynny kurort w Belgii, 6. 2-kołowy pojazd konny, używany w W. Brytanii.

Pionowo: 56. przeciwpowodziowy, 18. furtka większych rozmiarów, 55. mały, krępej budowy koń, 1. żyzna gleba na skałach wapiennych, 57. duża siła, odporność fizyczna, 46. istota sprawy, 52. wyróżniał się nim Cyrano de Bergerac, 35. włócznia, pika, 54. siły zbrojne państwa, 28. tytuł drukowanej przez „Literaturę" powieści Richarda Bacha.

Prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu Nr 8

Kamieniu szary leżący przy drodze,
Co w dal, jak życie samotne, ucieka!
Od lat do ciebie spocząć tu przychodzę
Z duszą co tęskni, spodziewa się,

czeka!

(fragment wiersza L. Staffa)

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu Nr 8 nagrody wylosowali: Jerzy Bogdan Chmiel, Tarnawka, pow. Bychawa, Stanisław Kisiel, Wisznice, pow. Włodawa, ul. Rowińska 24, Eugeniusz Tokarczuk, Hrubieszów, Polna 15 m. 38, Marianna Lisek, Międzyrzec Podl. ul. Warszawska 25 bl. 19/13.

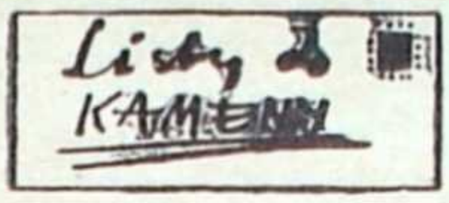

„Izba zapomnienia"?

W nr 5 „Kameny" opublikowaliśmy list czytelnika poruszający sprawę kryzysu Izb Pamiątek na Lubelszczyźnie, w którym znalazła się m. in. wzmianka o placówce w Tarnogrodzie. Poniżej publikujemy wyjaśnienie przewodniczącego Powiatowego Komitetu Kultury i Sztuki PPRN w Biłgoraju, spowodowane interwencją Kuratorium Okręgu Szkolnego w Lublinie, które jako jedyne zareagowało na treść wspomnianej korespondencji.

*

Istotnie w okresie od 1971 r. działalność Gminnego Ośrodka Kultury w Tarnogrodzie, w tym również zadania realizowane w oparciu o ekspozycje Izby Pamięci, była dość utrudniona. Przeprowadzono bowiem wymianę instalacji elektrycznej, wystroju wnętrz pomieszczeń, wyposażenia itd — o łącznej wartości ok. 1 200 tys. złotych. W bieżącym roku zakończony zostanie remont Gminnego Ośrodka Kultury, w związku z czym również Izba Pamięci uzyska możliwości ekspozycji własnych zbiorów.

Należy podkreślić, że od chwili otwarcia Izby Pamięci w Tarnogrodzie, to jest od 1966 roku przeniesiono zbiory do znacznie większego pomieszczenia, wykonano tam prace stolarskie i dekoratorskie, eksponowano w dwu ostatnich latach kilka wystaw organizowanych przez Muzeum w Biłgoraju (m. in. „Pieniądz papierowy na ziemiach polskich", „Rzeźba ludowa regionu biłgorajskiego"). Organizowane były także wystawy we własnym zakresie, tj. mieszczące się w możliwościach GOKu w Tarnogrodzie. Z pewnością „miniona świetność" nie kojarzyła się autorowi notatki w „Kamenie" jedynie z dniem otwarcia Izby. Chętnie zastosowalibyśmy niewątpliwie cenne uwagi autora notatki o pracy wiadomej placówki, gdyby zechciał je ukonkretnić.

Wiadomo, że izby pamięci w województwie lubelskim w większości znajdują się pod opieką organizacji społecznych, młodzieżowych, lub — jak w Tarnogrodzie — bezpośrednią opiekę sprawują gminne placówki kulturalno-oświatowe. Często działalność ograniczają możliwości lokalowe, finansowe itp. Na przykład Muzeum w Biłgoraju posiada środki finansowe zabezpieczające jedynie bieżącą pracę tej placówki. Niewątpliwie zainteresowanie Izbą ostatło, jeśli będziemy oceniać jej własne zbiory. Jest to jednak zjawisko, które dotyczy wszystkich placówek tego typu, tzn. nie posiadających odpowiedniego zabezpieczenia finansowego własnej działalności.

Na zakończenie przytaczamy wykaz niektórych zadań ujętych w gminnym planie działalności kulturalno-oświatowej w roku 1973, zaakceptowanym przez Urząd Gminy Tarnogród, Komitet Gminny PZPR, instytucje gospodarcze i organizacje społeczne w dniu 25 stycznia br.:

udostępnienie zwiedzającym zbiorów Izby Pamięci; wystawa dzieł twórców ludowych; ogłoszenie konkursu na najciekawsze wspomnienia z okresu II wojny światowej (organizacja na szczeblu gminy); „Czy znasz swoją miejscowość" — konkurs tematycznie związany z dziejami Tarnogrodu; ekspozycja wystaw organizowanych przez Muzeum Regionalne w Biłgoraju; zorganizowanie wyjazdu młodzieży szkolnej do Muzeum Regionalnego w Biłgoraju; rozpoczęcie starań o adaptację dla celów muzealnych synagogi w Tarnogrodzie; nawiązanie kontaktów z twórcami ludowymi (organizacja spotkań, wystaw itp.).

Powiatowy Komitet Kultury i Sztuki PPRN w Biłgoraju uprzejmie prosi autora notatki w „Kamenie" o skontaktowanie się z kierownikiem Muzeum w Biłgoraju lub kierownikiem GOK-u w Tarnogrodzie — jeśli niniejsze wyjaśnienia okażą się niewystarczające. Osoby te dysponują pełnym materiałem o działalności Izby Pamięci w Tarnogrodzie, dość zresztą bogatym i różnorodnym.

mgr Kazimierz Buczek

Dla kogo pracownie?

Wiadomo, że Lublin posiada za mało pracowni plastycznych w stosunku do liczebności miejscowego środowiska artystycznego które skupia 120 osób. Ciągle zresztą, przy różnych okazjach, plastycy domagają się pracowni, to zrozumiałe, ale domagają się zarazem rzeczy znacznie łatwiejszej, zdawałoby się, a mianowicie respektowania obowiązujących przepisów, regulujących zarówno budowę pracowni, jak i ich przydział. O budowie tych pomieszczeń zamilczę, albowiem sprawa jest trudna, a poza tym wszyscy zainteresowani wiedzą, że zarówno spółdzielczość mieszkaniowa, jak i rady narodowe zapomniały o obowiązujących normatywach, dotyczących pracowni.

Oto jednak dowiaduję się, że przy ul. Lubartowskiej jakiś obywatel, który nie jest plastykiem z zawodu, ani nie posiada uprawnień wykonywania tej profesji, nie trudni się również twórczością ludową — otrzymał całkiem przyzwoitą pracownię plastyczną. Rzecz sama w sobie nie byłaby może szokująca, jako że pracownie plastyczne np. w Zamościu wykorzystywana są przez kominarzy, gdyby nie jej otoczka administracyjna. Narzekamy często i nie bez powodu na małą operatywność naszej administracji, tymczasem w powyższej sprawie bardzo energicznie interweniuje właśnie administracja, czyli Wydział Kultury Prezydium WRN w Lublinie, który domaga się zmiany użytkownika lokalu na rzecz rzeźbiarza lub grafika. Nie mam zamiaru rozpływać się nad szybkością i stanowczością działania tego Wydziału, jako że należy to do jego obowiązków. Piszę jednak o tym dlatego, albowiem wiem, że między obowiązkiem a jego realizacją mrok ciemny zalega. Ponadto przypadek ten wydaje się wskazywać na konieczność zorganizowania konferencji z udziałem władz kulturalnych, plastyków, władz lokalowych i przedstawicieli spółdzielczości mieszkaniowej w celu ostatecznego wyjaśnienia problemu pracowni i ustalenia wspólnej linii działania. Choćby dlatego, aby nie powtarzały się przypadki przydzielania pracowni na zasadzie całkowitej przypadkowości, za którą nierzadko kryją się prywatne interesiki tego i owego.

Czesław Zimny
Lublin

Autostop 1972

Społeczny Komitet „Autostop" zawiadomił nas, że przyznał 500 kierowcom — zgodnie z tradycją — doroczne nagrody za aktywny udział w tej imprezie, w której w ub. roku uczestniczyło 4 566 kierowców samochodów osobowych, ciężarowych, furgonetek i autobusów. Środki na nagrody pochodziły wyłącznie ze składek autostopowiczów, najwyższa — w talonach realizowanych w domach handlowych „Społem" — wynosi 12 tys. zł, najniższa — 500 zł. Wśród wyróżnionych znalazło się 19 kierowców z Lubelszczyzny: Józef Bryk z Rejowca, Ryszard Futyna z Sokołówki w pow. biłgorajskim, Tadeusz Hajdenrajch z Kraśnika, Roman Kaplan z Lublina, Jan Kolibski z Lublina, Marian Laszko z Biłgoraja, Jan Leszczyński z Lublina, Stanisław Olszak z Krępca w pow. lubelskim, Tadeusz Wójcik z Kodeńca w pow. parczewskim, Jan Ziętek z Puław.

Gratulując życzymy szerokiej drogi!

Red.

»KAMENA«

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele: KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI I ZENON WAŚNIEWSKI. Redaguje zespół: JERZY DOSTATNI (sekretarz redakcji), MAREK ADAM JAWORSKI (redaktor naczelny) BOGDAN MADEJ, ZYGMUNT MAŃKOWSKI, ZYGMUNT MIKULSKI (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz MIROSŁAW DERECKI, IRENEUSZ J. KAMIŃSKI i MACIEJ PODGÓRSKI. Redaktor techniczny i korektor — IRENA KOMOSA.

Cena prenumeraty krajowej: rocznie — 52 zł, półrocznie 26 zł, kwartalnie 13 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe — mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur, zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch" Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-340 Warszawa, konto PKO I-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty.

Wydawca: RSW PRASA — KSIĄŻKA — RUCH Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 4. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Numer łamał MIECZYSŁAW PSUJEK.

Adres redakcji: 20-816 Lublin, ul. Narutowicza 25

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 235-31, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-25

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 121; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

LZGraf. Zam. 1144 15.05.73. 18973, G-4

JAK NAJDALEJ STĄD...

Dokończenie ze str. 9

wygraną. Obmyślił sobie nawet pewien system poszukiwania. Podawał się za jakiegoś krewnego i poprzez Czerwony Krzyż, przez Radiową Skrzynkę Poszukiwań Rodzin nadawał komunikaty, do kogo tamten ma się odezwać. Ale bez skutku. Pisał więc do biur meldunkowych w całej Polsce, rujnował się na przejazdy, aby sprawdzić dane, które z reguły były fałszywe. Na nic zdawał się ten jego szaleńczy upór. I tylko przypadek, przedziwny przypadek zrządził, że trafił na cmentarz, gdzie tamten był pochowany.

Idąc ulicą nieznanego miasta natrafił na pogrzeb. Umęczony powlókł się wraz z ludźmi z konduktu i nim się obejrzał, był już na cmentarzu. Tego, którego grzebali, grzebali właśnie przy jego grobie. On bał się, że jak to zobaczył, zacznie wyć. Z rozpaczy czy radości, sam tego nie wiedział. Mówił, że to było i to i to. Że znalazł i że przegrał. Do końca nie dowierzał, choć na nagrobku wszystko się zgadzało. Nazwisko, data urodzenia, ba, była nawet porcelanowa brązowa fotografia, którą w pierwszym momencie chciał potłuc.

Tego samego dnia sprawdził wszystkie dane. Przebadał księgi cmentarne, wyciągnął metrykę zgonu. Wszystko się zgadzało. Można sobie wyobrazić, co on czuł, patrząc na ten stereotypowy nagrobek, który w pierwszym zaślepieniu postanowił rozwalić, zrównać z ziemią. Ale przyszło mu do głowy, że przecież ktoś ten nagrobek musiał postawić. Może żona, może dzieci, no, ktoś bliski. I wtedy zaczął warować przy grobie, a nawet opiekować się nim. Omiatał go z liści, czyścił płytę i ciągle wyczekiwał na tego kogoś, kto się wcześniej czy później zjawi. Ludzi, którzy z bliżej nieokreślonych powodów zatrzymywali się przy grobie, skrupulatnie śledził, badał, wypytywał. Ale ciągle nie byli to ci, na których z tym obłąkańczym uporem czekał.

Obsługa cmentarza doskonale go znała. Byli przekonani, jak sam to ze śmiechem powiedział, że ten w grobie to jego jakiś krewniak. A on przychodzi na cmentarz dla zabicia czasu, jak wielu ludzi w jego wieku. Dlatego też bliżej nim się nie interesowali.

Opowiadał mi, że Dnia Zmarłych nie mógł się doczekać. Ale nawet wtedy w przewijającym się gęstym tłumie nikt bliżej nie zainteresował się grobem. Jakieś młode małżeństwo postawiło świeczkę na grobie, ale było to zupełnie przypadkowe. Po tym dniu stary postanowił wyjechać. Wyjechać jak najdalej stąd. I wyjechał. Ale mówił mi, że tam z tej odległości czuł, że ten ktoś pod jego nieobecność odwiedzi grób. I że on nie może zmarnować tej okazji i musi wrócić. Że właściwie bez tego oczekiwania życie nie ma sensu, że już nigdy nie zdoła uwolnić się od myśli o tamtym, choć bardzo by chciał. Więc wrócił, bo doszedł do wniosku, że jest to jedyny sposób na przetrwanie. I znów zaczął warować przy grobie. A kiedy zobaczył mnie, doznał jakby olśnienia, że ten na którego czeka, to właśnie ja. A ja przyjechałem tam tylko po to, aby raz na zawsze skończyć z tym miastem, cmentarzem, ludźmi, a nawet z myślami, gdyby mi się tylko to udało...

Stanisław Andrzej Łukowski

falsetem

Kultura i chałtura

O PRACACH komisji sejmowych informuje niekiedy prasa codzienna, dopiero jednak uważne przejrzenie biuletynów opracowywanych przez Wydział Prasowy Kancelarii Sejmu pozwala wyrobić szerszy pogląd na ten temat.

Oto niedawno Komisja Kultury i Sztuki rozpatrywała problemy rozwoju życia kulturalnego w miejscowościach wczasowych i uzdrowiskach. Z własnych doświadczeń wiemy, że pod tym względem najlepiej tam się nie dzieje. Trudności lokalowe, brak odpowiedniego ich wyposażenia, imprezy określane mianem chałtury — któż tego nie zna?

Wiceminister Józef Fajkowski, który z ramienia swego resortu referował przygotowane materiały, przyznał, że działalność kulturalna koncentruje się w większych miejscowościach wypoczynkowych, podczas gdy mniejsze są wyraźnie upośledzone. Za rozwój tej działalności odpowiedzialne są nie tylko rady narodowe, ale i wszystkie instytucje posiadające na danym terenie ośrodki wczasowe.

Poseł Maria Łopatkowa przedstawiła z kolei uwagi podkomisji do spraw upowszechnienia kultury. Wyraziła żal, że Ministerstwo Kultury i Sztuki nie ustosunkowało się w dostarczonym posłom materiale do jakości występów artystycznych, a zwłaszcza do tych najliczniejszych, firmowanych przez „Estradę" lub organizowanych na podstawie zezwoleń wydziałów kultury. W działalności kulturalnej — podkreśliła — nie ma miejsca na chałturę, która stępia i wypacza naturalną wrażliwość estetyczną człowieka. Zdarza się, że nawet najlepsi aktorzy, biorący udział w imprezach wyjazdowych, stosują taryfę ulgową.

Podkomisja zwróciła się do resortu z następującymi pytaniami:

— czy w przygotowanych programach działalności kulturalnej w miejscowościach wczasowych i uzdrowiskowych znajdą się pozycje zróżnicowane, odpowiadające specyfice potrzeb wypoczywających tam ludzi? Idzie m. in. o to, aby ludziom leczącym schorzenia pozawałowe nie oferować np. filmów pełnych grozy, powodujących wzruszenia;

— czy na wczasach rodzinnych uwzględnia się repertuar odpowiedni dla ludzi w wieku od lat 2—100; wczasy rodzinne są wyjątkową okazją m. in. do atrakcyjnego uczenia rodziców, jak mają spędzać wolny czas razem z dziećmi, a nie obok nich.

W biuletynie nie znalazłem odpowiedzi na te pytania. W każdym razie pierwsze z nich jest szczególnie aktualne dla Nałęczowa. Z własnych obserwacji nie przypuszczam, aby repertuar miejscowego kina uwzględniał specyfikę tego miasta.

W dyskusji zabrało głos kilkunastu posłów. Wiodzimierz Sokorski stwierdził, że mimo stałego rozwijania coraz to nowych form rozrywki kulturalnej, nadal pierwsze miejsce zajmuje i zajmować będzie telewizja. Nie mamy jednak opracowanej koncepcji dobrego programu rozrywkowego odpowiadającego zapotrzebowaniu i gustom współczesnego człowieka. To, co prezentujemy zarówno w telewizji, jak i w estrach rozrywki, to połączenie resztek operetki z dawnym wodewilem. Nie istnieje prawie program typu satyrycznego.

Tadeusz Myślik oświadczył, że upowszechnienie rozrywki nie zawsze musi być związane z rozbudową bazy materialnej. Należałoby np. pokusić się o wykorzystanie czasu wolnego ludzi oczekujących w poczekalniach kolejowych. Głównym celem dyskusji powinien być problem, jak osiągnąć stałe podnoszenie poziomu kulturalnego naszego społeczeństwa, natomiast pobyt obywatela na wczasach należy uważać jako poważną szansę zrealizowania tego podstawowego celu.

Anna Kochanowska zauważyła, że sytuacja w zakresie działalności kulturalnej w ośrodkach wczasowych jest pochodną ogólnej sytuacji w kulturze. W woj. olsztyńskm jeden bibliotekarz obsługuje ok. 1,5 tysiąca czytelników, w okresie wczasowym — znacznie więcej. Nie ma więc mowy, aby właściwie wywiązał się ze swojej pracy. Wiele muzeów otwartych jest tylko rano, ponieważ nie ma odpowiednich środków na opłacenie pracowników, którzy pełniliby dyżury po południu. Materiały resortu w ogóle nie poruszają sprawy programu kulturalnego, który można by zaproponować turystom zagranicznym.

Henryk Korotyński stwierdził, że zachodzi dysproporcja między wysiłkami podejmowanymi na rzecz załatwienia jakiegoś programu kulturalnego, a potrzebami ludzi przebywających na wczasach. Wczasowicz odczuwa potrzebę uprawiania jakichś prostych zajęć sportowych, natomiast nikt nie czeka — będąc na wczasach — na odczyty.

Ze stwierdzeniem tym polemizował Wojciech Żukrowski. Jego zdaniem w ośrodkach wczasowych jest ogromne zapotrzebowanie na działalność kulturalną. Trzeba wypoczywającym stworzyć możliwość wyboru rozrywki. Należy eksponować kulturę danego regionu — zespoły, twórców ludowych itp. Nic nie stoi na przeszkodzie, aby organizować regionalne gospody, które serwowałyby kilka oryginalnych potraw.

Posłowe poruszyli wiele problemów, ale nie zauważyłem, by którykolwiek zwrócił uwagę na gry towarzyskie. Na wczasach wcale nie jest to problem bagateli. Widziałem świetlice, w których nie było nawet szachów. Tymczasem właśnie w Lublinie Lech Pijanowski demonstruje w domu Pod Akacją swój bank gier. Do tego banku zaprowadziłbym wszystkich pracowników kulturalno-oświatowych. Małym kosztem można i zabawiać i uczyć zarazem. Niestety, pod względem gier umysłowych wieczemy się gdzieś na szarym końcu. Wystarczy obejrzeć nasze sklepy z zabawkami. Póki więc co — podglądajmy i róbmy sami...

MAJ

Rys. W. Fuglewicz

minuta myślenia

Dopisek do Dni

„GDY człowiek w swoim mieszkaniu zechce spędzić wolny czas (a będzie go miał bardzo dużo, pracując najwyżej 30 godzin tygodniowo) przed ekranem telewizyjnym będzie sobie wybierał jeden z kilkudziesięciu kanałów. Programy, których nie będzie mógł lub chciał obejrzeć od razu, zarejestruje mu automatycznie domowy rejestr, by je później w dowolnym czasie odtworzyć.

Dzięki wideolektofonowi będzie miał człowiek łączność z całym światem. Sterowane komputerami urządzenia będą mu tłumaczyły wszystkie języki obce. Rozmówca z Japonii będzie dyskutować z dowolną osobą w Europie o wychowaniu dzieci, o rozgrywkach piłki nożnej, czy uprawie ogródka. Przy rozwiązywaniu krzyżówek nie będzie musiał przerzucać leksykonów i atlasów. Bank informacji, którego będzie abonentem, dostarczy każdej informacji o każdej porze dnia i nocy".

Jest to wyjątek z artykułu F. Hufena „Eines Tages?" zamieszczonego w „ZV + ZV" z roku 1971. Powtarzam za Walerym Pisarkiem z Biuletynu prasowo-wydawniczego.

Bardzo ostrożnie odnoszę się do wszelkich przepowiedni futurologicznych. Na pytię XX wieku czyha znacznie więcej niespodzianek, niż na jej poprzedniczkę z trójnogu w Delfach. Zresztą tamta tak chytrze redagowała przepowiednie, że jej tekst miał kilka sprzecznych wykładni na raz. Któraś zawsze musiała się sprawdzić. A jak uwierzyć F. Hufenowi? Kiedy ta bajka o rzeczywistości stanie się bajeczną rzeczywistością? Na razie na świecie mamy 800 milionów analfabetów i liczba ta jest o 160 milionów wyższa w porównaniu z rokiem 1950.

Zresztą czy wizja aż takiej automatyzacji może być pociągająca? Czy sama aparatura nie wytworzy stressu? Co zrobić np. z tymi zarejestrowanymi programami telewizyjnymi, których się w danym momencie nie ma czasu słuchać? Co się stanie z zaciszem domowego ogniska, kiedy nastanie ten rozgardiasz informacji krzyżujących się z całego świata? Skutek chyba będzie ten, że właściciel wyłączy wszystkie kontakty, wtyczki i guziczki, a sam się uda z motyczką do przydomowego ogródka. Jeśli jeszcze kawałek nagiej ziemi będzie na świecie istniał.

Nie martwmy się zresztą za człowieka XXI wieku, jak ludzie współcześni wynalazkowi pary nie martwili się za nas. Mamy obecnie Dni Oświaty, Książki i Prasy, które nam oferują kontakt nie z elektronową aparaturą, ale z gałązką jabłoni rozkwitłą na przyjęcie ludzi kolportujących wytwory kultury i rozrywki. To zawsze jest ta pora, kiedy myślimy o swych zadaniach, zamiarach, projektach w sposób podniosły. Boć cały miesiąc jest świętem.

Jednakże nie sposób i tu nie zauważyć pewnych zjawisk ujemnie rysujących się w trakcie realizowania imprezy. Na przykład tendencja do sukcesów ilościowych. Ta tendencja stwarza natłok, a czasem konflikt zderzających się ze sobą spotkań i występów — zupełnie tak, jak w futurologicznej wizji uczestnictwa w kulturze człowieka przyszłości. Jest zrozumiałe, że w tym czasie chcemy jak najwięcej pokazać, zaśpiewać, wygłosić, zarecytować. Jest nawet sympatyczna ta gotowość do aktywności. Ale ze spontaniczności działania nie wytwarzajmy gorączki organizacyjnej, bo ta subiektywnie pochwały godna, obiektywnie niczego nie wnosi.

Oczywiście — nie Dni są okazją do bilansu ujemnych stron kolportowania dóbr kulturalnych w naszym województwie, ponieważ nie w czasie karnawału mamy się martwić, ale szczypta soli (jeśli attycka) nie zaszkodzi. Może to będzie przyczynek do utemperowania wygórowanych i nieodpowiedzialnych zarzutów, które na naszym terenie ukazują od czasu do czasu tak nieoczekiwaną żywotność.

Ijon

Noty i notki

Z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy warto może zwrócić uwagę na dziwne proporcje czytelnictwa w naszym kraju. Jeżeli chodzi o gazety, to w przeliczeniu na tysiąc mieszkańców zajmujemy piąte miejsce w Europie. Ale od końca — wyprzedzamy jedynie Bułgarię, Jugosławię, Rumunię i Włochy. Natomiast jeżeli chodzi o liczbę wydawanych rocznie tytułów książkowych, zajmujemy siódme miejsce — już od góry, chociaż za malutką Holandią. A ogółem mamy w Europie 33 państwa.

●

Ale z jakością wydawanych u nas książek też nie jest najlepiej, o czym się raczej nie mówi i nie pisze. Przed dziesięciu laty kontrole techniczne i czytelnicy wykryli 85 tys. egzemplarzy książkowych bubli, natomiast w roku ub. już 1 900 tys. egzemplarzy. Drukarnie rękami i nogami bronią się przed przyjęciem do druku książek, co do których wydawca ma jakieś szczególne wymagania jakościowe.

●

W zeszłym roku GRN w Zemborzycach zakupiła wszystkie drzewa, które miały być wycięte pod przyszły zalew. Potem drzewa grubsze zabrała, pozostawiając młodniaki i krzaki. Teraz ową kłopotliwą resztę usuwa się pracą społeczną i potem pali, bo naczelnik gminy nie uznaje umowy GRN. Zresztą wcale nie jest wykluczone, że po spaleniu wszystkiego wytoczy sprawę o zniszczenie majątku gminy i gotów wygrać odszkodowanie. Ot, trzeba mieć głowę do interesów.

●

Sobota 5 maja, 45 minut przed zamknięciem lubelskiego PDT. Na parterze zniknęła gdzieś połowa ekspedientek, kolejki wydłużają się do 15, 20 osób. Nikt się tym nie przejmuje — poza klientami, którzy muszą „odstać" grzeszną chęć wydania własnych pieniędzy.

●

Równo cztery lata temu oddano do drukarni „Spis telefonów województwa lubelskiego". Od tego czasu w samym tylko Lublinie przynajmniej czwarta część numerów jest już nieaktualna, nie mówiąc o tym, że nowi abonenci od dwóch lat w ogóle nie mogą kupić „Spisu", że większość istniejących podarła się (VII klasa papieru), że magistrowie zostali doktorami, docenci profesorami itd. A o nowym spisie nawet nic nie słychać, chociaż ten poprzedni był datowany na lata „1970/71". Jeżeli zaś kiedykolwiek się ukaże, to ciekawe, czy poczta zechce w nim umieścić numery swojego własnego kodu, czy też adresów będziemy zawsze szukali w dwóch książkach.

●

Jako zdeklarowany sympatyk płci pięknej, nawet jeżeli w poszczególnych egzemplarzach nie jest ona piękna, z oburzeniem przytaczam za tygodnikiem „Prawo i Życie" (nr 6) wyjątek z uzasadnienia wyroku, wydanego przez Sąd Powiatowy w Garwolinie: „Trudno sobie wyobrazić, aby trzy kobiety przez szereg miesięcy mogły ze sobą nie mając pracy wytrzymać". Wprawdzie styl nieco prawniczy, ale za to jaka znajomość życia!

●

Od czasu, gdy przygadaliśmy „Barwom", anonimowy przeglądacz prasy społeczno-kulturalnej w tymże miesięczniku usiłuje czasem zasugerować swoim czytelnikom, że i my popełniamy różne gafy. Na pewno nie jesteśmy idealni, ale przeglądaczowi nie chce się czytać i poprzestaje na jednym czy drugim przeczytanym akapicie. I tak w nr. 5 przytacza z artykułu prof. Dominika Fijałkowskiego jeden akapit, opatrując go uwagą, że autor „naszym zdaniem nie ułatwia lektury czytelnikom". No cóż, nie drukujemy „Kamieny" dla przeglądacza z „Barw" i w przyszłości też nie będziemy mu ułatwiali lektury.

JOD

Odpowiedzi redakcji

B. N. Przybysławice. Jeśli porównamy tekst listu z tekstami wierszy — wielka różnica na niekorzyść tych drugich. Wiersze są blade, banalne, rewelują prawdy oczywiste. Niczego Pan nie mówi od siebie. Ma Pani wątpliwości w wyborze gatunku między prozą a poezją? Radzimy spróbować prozę.

„Dora" Lublin. Prosimy o nazwisko i adres.

K. M. S. Olsztyn. Bardziej nas przekonały „Liryk III" i „Impresja", aniżeli „Memento". Nie na tyle jednak, by skierować je do druku. Przypuszczamy zresztą, że to nie ostatni nasz kontakt.

„Jądro". Bardzo to wszystko zachwaszczone. Jedyna strofa do przyjęcia to pierwsza z wiersza „Poeta". Inne zawierają dziwne materii pomieszanie. Nastroju lirycznego nie da się przecież wywołać terminami z dziedziny melioracji.

A. J. S. Dziękujemy za aforyzmy. Kilka z nich zatrzymaliśmy z myślą o druku.

T. W. Lublin. Niestety, wiersze Pani mają przeklętą tendencję opadania w banał. Zdawałoby się, że już — już, a tu „karamba". Można by wykreślić sinusoidę. Cóż w takich warunkach możemy poradzić? Zrezygnować z partii „dolnych" i spróbować utrzymać wiersz na jego najlepszych osiągnięciach.

„Elejota". Jesteśmy serdecznie ujęci Pani nieustępliwym eksperymentowaniem i poszukiwaniem właściwej drogi. Tak, w poezji, we wszelkim usiłowaniu artystycznym najważniejsze jest, żeby „trafić w siebie". Znaczy to: odkryć te cechy osobowości, które najlepiej realizują się artystycznie. Można lata zmarnować nad dramatem, kiedy się ma zdolności do epiki nie wiedząc o tym. Pani praca świadczy o chwalebnym uporze dochodzenia do własnej świadomości. Ostrzegamy jednak przed nadmiarem słów. Bardzo niebezpieczne są te momenty, kiedy wiersz zaczyna „pisać się sam". Może to być wynikiem przypływu twórczego, ale z równym powodzeniem — zaniku samokontroli. Radzimy trochę więcej selekcji.

Z. G. Stoczek Łukowski. Właściwie to nawet nie jest źle napisane i z powodzeniem mogłoby znaleźć się obok utworów oczekujących swej kolejki do druku. Ale — jeśli wolno użyć metafory — są to słowa — makiety nie tworzące wrażenia autentycznego życia. Pański wiersz jest scenografią do sztuki, w której nic się nie dzieje. Tak mechanicznie produkować „piękno" nie może być rzeczą poezji. Wiersz musi zawierać „twarz", to znaczy być wyrazem uczucia, przeżycia, przemyślenia — obojętnie jak to nazwiemy — treści, która ma siłę znaleźć przedłużenie we wrażliwości odbiorczej. Nie możemy poradzić, by mechanicznie do tej „formy" dodać „treść", ale: wyrażać siebie, a nie powtarzać istniejące już formułki choćby je modyfikując.

A. T. Szczebrzeszyn. Czy warto pisać? Oto pytanie, z którym najczęściej zwraca się początkujący (znajdujący się na najwcześniejszym etapie owego początkowania) młody autor do redakcji. Cóż odpowiedzieć? Warto, ponieważ tylko na tej drodze można osiągnąć rozwinięcie zdolności, jeśli takie istnieją. Nie warto, ponieważ pisanie jest aktem indywidualności twórczej, a kiedy sam autor ma w tym względzie wątpliwości, rzecz traci swój przedmiot. Obydwie odpowiedzi są jednakowo słuszne. To pytanie trzeba postawić najpierw samemu sobie, wszystko inne następuje po nim. Łącznie z zaniechaniem pióra, co też jest odpowiedzią na powyższe.

C. G. Lublin. Tak, ale w tej rubryce staramy się podsuwać wyłącznie wskazówki praktyczne w oparciu o nadesłane teksty. Ten problem wymaga oddzielnego potraktowania już nie w rozmiarze korespondencji. Są takie, odsyłamy do literackich czasopism, których lektura powinna być jednym z pierwszych obowiązków zainteresowanego „piękną sztuką pisania".

Walerija Sulima

smak miłości i łez

Mariusz nie pozwolił, aby Zuzanan sama wyjechała z Katowic. Spotkał ją na dworcu, kiedy czekała na pociąg, i przywiózł taksówką do hotelu. Akcja naszej powieści, drukowanej w autonomicznej rubryce „Poste Restante", toczy się dalej.

(15)

Taksówka zatrzymała się przed hotelem. Mariusz zapłacił za kurs. W portierni Zuzanna poprosiła o klucz.

— Przecież pani powiedziała, że już nie wróci...

— Zmieniłam plany, a miejsce w pokoju mam opłacone do jutra.

— Tak, ale ponieważ pani je zwolniła, mogłam nim swobodnie dysponować. Z noclegami jest bardzo trudno.

— No to co będzie? Muszę gdzieś spać. — Zuzanna zmartwiła się niespodziewaną przeszkodą. Mariusz też nie wiedział co zrobić z tym fantem.

— Mogę dać pani adres prywatnej kwatery, ale to dodatkowe koszty. Chociaż... Mam pomysł. W pana pokoju jest rezerwowa leżanka. Jeżeli pan się zgodzi, powiem, aby ją pani zaścielono.

— Jeżeli nie ma innego wyjścia... — Mariusz stał niezdecydowany.

— Różne rzeczy zdarzają się w życiu. I tak idą pani na rękę. No więc...

Po chwili znaleźli się w pokoju Mariusza. Hoża dziewczyna zaścieliła leżankę.

— Pani Kasia z portierni powiedziała mi o pani kłopotach — oświadczyła pokojowa. — Ale czy ja potrzebnie ścielę? Jak się znam na życiu...

— Proszę w ten sposób nie mówić — przerwał Mariusz, może nawet zbyt gwałtownie, ten wywód. — Nie należy traktować wszystkich według jednego schematu.

— Dobrze już, dobrze. Nie ma pan czemu zaraz się obrażać. Teraz ludzie jacyś tacy nerwowi, nic nie znają się na żartach.

— Dobranoc państwu. Życzę przyjemnych snów!

Zostali sami w pokoju. Nagle zadzwonił telefon.

— To ja, Bałka — usłyszał znajomy głos. — Nie śpisz jeszcze?

— Za chwilę się kładę. Jestem bardzo zmęczony. A co ty robisz?

— To samo, co ty. Ale nie mogłam pójść spać, bez usłyszenia twojego głosu.

— Miła jesteś.

— Pocałuj swoją Basię. Myślałam, że inaczej ułoży się dzisiejszy wieczór. Ale byłeś taki dziwny.

— Całuję ciebie.

— Serdeczniej to powiedz, nie tak na odczepnego!

— Całuję, całuję.

— Rano zatelefonuję i obudzę ciebie. Pa, pa, pa, pa!

— Widzisz — powiedziała Zuzanna — że Basia nie może żyć bez ciebie. Ale nie wiem, czy byłaby zachwycona, gdyby wiedziała, że zabrałeś mnie z dworca i że teraz jestem tutaj.

— Daj spokój; Zuziu, ale ty chyba jesteś głodna?

— Przegryzłam co nieco w bufecie stacyjnym. Ale ty chyba nic nie jadłeś? Mam tu bułkę z szynką. Trochę sucha, ale jeszcze można ją przełknąć.

— Wiesz, Zuziu — rzekł Mariusz po chwili — ja się położę na leżance, a ty na łóżku. Będzie ci wygodniej.

— Jak chcesz, mnie tam wszystko jedno.

Wyszła do łazienki, wykąpała się pod prysznicem. Wróciła w bordowym szlafroczku, który opinał jej ciało. Mariusz po raz pierwszy zauważył, że jest bardzo zgrabna.

Kiedy on z kolei wrócił z łazienki, światło w pokoju już było zgaszone. Położył się na leżance. Zuzanna nie spała. Słyszał jej miarowy oddech.

— Nie możesz zasnąć? — zapytał.

— Wydawało mi się, że wystarczy tylko przytulić głowę do poduszki i już będę spała jak suseł. Za dużo jednak wrażeń jak na jeden dzień... Mariuszu — ściszyła głos — pocałuj mnie na dobranoc.

Podszedł do niej, usiadł na łóżku, nachylił się i musnął ustami policzek Zuzanny.

— Mocniej pocałuj. O, tak! — objęła go gwałtownie za szyję. Fala gorąca uderzyła mu do głowy. Usta Zuzanny były wilgotne.

Zmieszany wyswobodził się z jej objęć.

— Zuziu, nie można tak, co robisz?

Usłyszał szloch, zrazu cichy, ale Zuzanna nie mogła się opanować. Te łzy przynosiły jej ulgę.

— Zuziu, nie płacz... — Palcami ścierał łzy z jej twarzy.

— To straszne tak kogoś kochać bez wzajemności. Nigdy nie przypuszczałam nawet przez moment, że to jest aż takie bolesne. Mariuszu, czy ty już z Barbarą...

— Co z Barbarą?

— No wiesz, o co mi chodzi. Czy doszło między wami do zbliżenia?

— Co ci przyszło do głowy? Nie...

— Prawdę mówisz?

— A dlaczego miałbym ciebie okłamywać?

Zuzanna uśmiechnęła się. Słowa Mariusza sprawiły jej wielką radość. Ale chciała wiedzieć więcej.

— A przed Basią miałeś jakąś dziewczynę?

— Dlaczego pytasz?

— Bo ja jeszcze nigdy z nikim. Marzyłam kiedyś o tym, aby ten pierwszy raz był dopiero po ślubie. Może jestem staroświecka?

— Ja też nikogo nie miałem.

Mocno ścisnęła jego rękę. I powiedziała niespodziewanie:

— Wiesz, z tobą bym się całkiem zatraciła. Boże, jak ja bardzo ciebie kocham... Błagam cię, pocałuj mnie...

(cdn)